

Bartosz Ulka

Perła Europy

DZIEDZICTWO



Redakcja:
Aneta Wiczorek

Projekt okładki:
Robert Rudomina

Skład:
Paweł Szewczyk

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012

Wszelkie prawa autorskie i wydawnicze zastrzeżone. Wszelkiego rodzaju reprodukowanie, powielanie (łącznie z kserokopowaniem), przenoszenie na inne nośniki bez pisemnej zgody Wydawcy jest traktowane jako naruszenie praw autorskich, łącznie z konsekwencjami przewidzianymi w Ustawie o prawie autorskim i prawach pokrewnych (Dz. U. nr 24 z 23.02.1994 r., poz. 83).

Książki wydawane przez **Księży Młyn Dom Wydawniczy** mają na celu ukazanie piękna, tradycji oraz historii miast i regionów naszego kraju. Poprzez nasze publikacje pragniemy utrwalać i rozbudzać zamilowanie mieszkańców swymi „małymi ojczyznami”.

Księży Młyn Dom Wydawniczy – czołowy wydawca książek regionalnych i komunikacyjnych zaprasza do współpracy Autorów mających pomysły na książki związane z **miastami, regionami** oraz **tematami komunikacyjno-transportowymi**. Prosimy także o kontakt osoby posiadające zdjęcia, jak i różnego rodzaju pamiątki nawiązujące do interesujących nas tematów.



Książki dla ludzi ciekawych

ISBN 978-83-7729-079-8



KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także SMS), gg 414 79 54
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl



Łódź-Szczecin 2012. Wydanie 1

Pamięci mojej mamy.

Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszej.

OD AUTORA

Czuje potrzebę wspomnieć o tym na wstępie – książka jest fikcją literacką. Pewne wątki, wydarzenia i postaci są autentyczne, lecz zbeletryzowałem je w sobie właściwy sposób z pełną premedytacją. Nie pokusiłem się tym razem o podział postaci na historyczne i fabularne. Jeśli ktoś zechce, na pewno odnajdzie aspekty i wydarzenia historyczne we własnym zakresie.

Chciałbym podziękować mojemu najważniejszemu czytelnikowi testowemu – Joannie. To jej determinacja i wiara w moje możliwości były najważniejszymi motorami procesu twórczego.

Zachęcam wszystkich czytelników do podzielenia się opiniami o książce bądź wysłania do mnie swoich pytań czy sugestii poprzez stronę autorską: www.bartoszulka.pl.

Na koniec dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym, które dopingowały mi przy pisaniu, oceniali na bieżąco fragmenty maszynopisu i często pozostawali, ku mojemu rozczarowaniu, bezgranicznie bezkrytyczni.

A więc Czytelniku, skoro książka trafiła w Twoje ręce, zostaje mi życzyć przyjemnej lektury!

ROZDZIAŁ I

Pukanie do drzwi. Początkowo słabe, taktowne. Dzwonek pozostawał zepsuty od jakiegoś czasu, ale wcale nie był to powód do zmartwienia. Wręcz przeciwnie – ktokolwiek by przyszedł, postuka, ręka zaboli i pójdzie precz.

– Nauczyli się wchodzić do cudzego ogródka... – wymamrotał przez zęby, przypominając sobie, że jeszcze niedawno myślał o założeniu zamka w furtce wejściowej do posesji.

Ile takich nieproszonych wizyt zbywał zwykłym wzruszeniem ramion, nie ruszając się nawet ze swojego fotela w salonie? Właściwie to ostatnio coraz mniej. Znajomi przestali go odwiedzać na jego własne życzenie. Ale nie był całkowitym odludkiem. W końcu codziennie chodził do pracy i widywał się tam ze swoją ekipą. To mu wystarczało w zupełności, a nawet było aż nadto.

Wszedł do kuchni i odstawił butelkę po „Bosmanie niepasteryzowanym” – nowym hicie szczecińskiego browaru. Od-ruchowo wyciągnął rękę w stronę lodówki po następną, ale zanim ją wyjął, zastanowił się, czy powinien. Lekarz z konsylium szpitala onkologicznego na Strzałowskiej zdecydowanie zabronił mu – jak on to pięknie nazwał? A właśnie – „zażywania alkoholu”.

Gdyby tu była mowa o zażywaniu, nie byłoby problemu. Alkohol stawał się nieodłącznym kompanem wieczorów spędzanych w towarzystwie Maćka – rudego kota, którego uwielbiał tarmosić za sierść, gdy wskakiwał do niego na kanapę przed telewizorem. Trzy butelki piwka – cóż to takiego? *Le-dwie drinkuję* – konstatawał na swoje wytłumaczenie. A że

czasem liczba ta rosła do czterech, pięciu butelek... Kto by się tym przejmował?

Otworzył butelkę, a kapsel i otwieracz niechłujnie rzucił na blat kuchennego stołu. Właściwie przydałoby się tu posprzątać...

Tymczasem pukanie nasilało się, co zaczęło go irytować. Może to Marta? Tylko ona była tak zdeterminowana i uparta, żeby utrzymać ich związek. Wiedział, że robiła to ze szlachetnych pobudek, chciała mu pomóc przejść ten ciężki okres w życiu (o ile w ogóle można było go przejść i przeżyć). Lubił ją. Ba, bardzo ją lubił. Może nawet kochał... Nie dopuszczał jednak do głosu ani uczuć, ani zdrowego rozsądku. Tłumił wszystko w sobie i nie zgadzał się na jakąkolwiek pomoc.

Nadal ignorując stukot, rozsiadł się na kanapie w salonie. W telewizji leciał fajny program na „National Geographic” o potędze wszechświata i właśnie skończył się kolejny cholerny blok reklamowy, jeden z tych, które przyprawiły go o wściekłość – wklejony oczywiście w najlepszym momencie programu.

– Jest tam kto?! – przytłumiony głos przeciskał się przez drzwi i docierał do jego uszu.

– Jasna cholera! – ryknął wściekły, idąc w stronę drzwi. Takiego natręta dawno tu nie było.

Już wiedział, że to nie Marta. Głos należał do kobiety, ale nie rozpoznawał go. W lustrze w przedpokoju przyjrzał się przelotnie swojej twarzy i sylwetce. Delikatnie skrzywił usta – nie lubił oglądać się w lustrze. Żywił odrazę do tego wizerunku ponad trzydziestoletniego, zmęczonego życiem, sytuacją i niestety także chorobą człowieka. Był jeszcze przecież całkiem młody, ale czuł się jak starzec. Przetarł podkrażone oczy, które w przyziemnym świetle korytarza wydawały się zupełnie czarne, poprawił porozrzucane, bardzo gęste i grube, ciemne włosy, przycięte dość krótko i odchrząknął, jeszcze raz z niechęcią spoglądając na siebie.

Kobieta miała około pięćdziesiątki, a może więcej? Na tyle przynajmniej wyglądała. Miała zafarbowane na delikatny blond włosy... chyba. Tak mu się zdawało. Oczy błękitne, usta – jak na jej wiek – nawet zmysłowe. Makijaż, choć bardzo stylowy i delikatny, musiał maskować ją doskonale – nie zauważył ani jednej zmarszczki na czole. Co do mimicznych zmarszczek w okolicach oczu, to przed momentem w lustrze widział ich dużo więcej u siebie niż na jej twarzy. Podsumował gościa krótko: *Ot, dama.*

– O co chodzi? – spytał bez zbędnych grzeczności.

Kobieta przyglądała mu się, jak dla niego, stanowczo za długo.

– Dzień dobry – powiedziała w końcu tonem, który wyraźnie zarzucał mu nietaktowne przywitanie. W jej głosie można było wyczuć obcy akcent, jakby nie używała polskiego od długich lat.

– Dzień dobry – odpowiedział zniecierpliwiony, jednocześnie uświadamiając sobie cel jej wizyty. Przyszła z ogłoszenia. Była zapewne jedną z wielu, którzy przychodzili w ostatnim czasie obejrzeć dom. Wystawił go na sprzedaż dwa miesiące wcześniej w kilku biurach nieruchomości i na portalach internetowych. – Przyszła pani zapewne obejrzeć dom?

– Zgadza się – odparła z rozbajającym i szczerym uśmiechem. – Mogę?

Poczuł się zakłopotany. Kobieta miała już swoje lata, ale była ujmująca. Właściwie chciał ją zbyć, ale z drugiej strony nie mógł się oprzeć, by zaprosić ją jednak do środka. *Dziwne* – pomyślał.

– Nie umawiała się pani telefonicznie. Mam tu spory bałagan.

Uśmiechnęła się ponownie.

– Proszę mi wierzyć, że nie przyszłam tu oceniać sposobu prowadzenia domu – oznajmiła natychmiast. – Przyszłam jedynie obejrzeć sam obiekt... – zawahała się nie wiedzieć dlaczego – No i porozmawiać z właścicielem... Oczywiście.

Nie oponował dłużej i otworzył drzwi. Miała na sobie narzutę w rodzaju pledu, spiętą ozdobną broszką na wysokości piersi. Łagodna, pogodna wiosna sprawiała, że delikatne odzienie nie wzbudzało niczyjego zdziwienia. Odpięła zapinkę jednym ruchem i zsunęła zgrabnie pledową narzutę. Mimo że wieszak znajdował się może metr od niej, nie powiesiła jej, lecz trzymała ją w ręku.

– Weźmie pan to ode mnie? – spytała dystyngowanym tonem. – Czy mam zawołać jakiegoś dżentelmena?

Dama, cholera jasna. Z krwi i kości.

Oglądanie domu rozpoczęła natychmiast. W salonie przystanąła na moment, omiotła wzrokiem pokój, po czym od razu ruszyła w stronę wiszącego na ścianie obrazu. Stała w odległości może dwóch metrów i, trzymając przed sobą sporych rozmiarów skórzaną torebkę, przyglądała mu się. Miał wrażenie, że musiała być regularną bywalczynią galerii i wystaw. Dawała sobie czas na analizę i ocenę dzieła.

– Kto to namalował? – spytała tonem wykładowcy na uczelni. – Nie jest podpisany.

Masz ci los. Teraz rozpoczniemy dyskusję o sztuce, a jesteśmy dopiero w salonie.

– Nie wiem. Wisi tu od zawsze.

Trzy syreny płynące przy rafie w toni morskiej wpatrywały się w nią, zdawać by się mogło, z równym zainteresowaniem, jak ona na nie. Kolejne minuty mijały, a ona nadal stała, patrząc w ten cholerny obraz.

– Nie interesuje pana, jakie dzieła trzyma pan u siebie w domu? – spytała z wyczuwalną ironią, nie odrywając oczu od obrazu.

– Nie jestem wielbicielem malarstwa – odpowiedział zdawkowo. – Czy możemy powrócić do oglądania mieszkania?

Wielu potencjalnych kupców przewinęło się przez jego dom ostatnimi czasy, ale żaden nie zachowywał się do tego stopnia dziwnie. Do kuchni przeszła sama, jakby codziennie chodziła tędy rano po kawę. Potem ruszyła do drzwi balkon-

wych, które prowadziły na taras z ogródkiem, a raczej trawnikiem. O nic więcej nie pytała. Zamknęła drzwi balkonowe i ruszyła przez obszerny salon w kierunku drewnianych dębowych schodów, zerkając jeszcze z satysfakcją na obraz.

Podążał więc za nią, nie odzywając się. Miał wrażenie, że choć dziwna, jest pewnie zamożna i, co więcej, zachwycona dzisiejszą wizytą. Nie pytał jednak o nic, aby nie dać poznać po sobie, że zależy mu na sprzedaży. Niech nacieszy oczy, a potem pogadają spokojnie o cenie. Zrobi się herbaty albo kawy, tej dobrej z Amaretto. Taka dama na pewno nie pija zwykłej kawy.

Miał wrażenie, że mógłby jej swobodnie zasugerować cenę w pobliżu miliona złotych. To by go urządziło. Kupiłby małe mieszkanie gdzieś w pobliżu, może na osiedlu Magnolia. Choć nie, tam jest za ciasno, kołchoz. Może coś na Osowie. Nieważne. Najważniejsze, że jeśli uda mu się wydać nie więcej niż czterysta tysięcy, to pozostałe pieniądze wystarczą na nietypową metodę leczniczą, którą stosowano w Chinach, a która mogłaby uratować mu nie tylko zdrowie, lecz przede wszystkim życie.

Weszli do dawnego pokoju rodziców.

– Ta komoda też stoi tu od zawsze? – spytała, ale w taki sposób, jakby z góry знаła odpowiedź.

Poczuł się skołowany.

– Pani pyta czy upewnia się? – delikatnie się uśmiechnął, lecz nie widząc reakcji, kontynuował. – Tak, to komoda po babci. W tym pokoju mieszkali rodzice, to była ich sypialnia.

Spojrzała na niego z ogromnym zainteresowaniem.

– A gdzie obecnie mieszkają rodzice?

*Na Ku Słońcu*¹.

– Rodzice zginęli w wypadku samochodowym – odpowiedział ponuro. – Pięć lat temu.

– Przykro mi.

¹ *Ulica, przy której rozciąga się szczeciński cmentarz Centralny.*

Z jej głosu biła szczerłość, nie przykładał do tego jednak większej wagi.

Podeszła do komody i oparła się o nią, jakby chciała upewnić się, że stoi stabilnie.

– Solidna, przedwojenna robota – oznajmiła z miną eksperta.

– To już ostatni pokój na górze – na wszelki wypadek zakończył wątek. Chciał teraz jedynie usłyszeć od niej, czy jest zainteresowana kupnem. Jeszcze bardziej niecierpliwiła go myśl o otwartej butelce piwa, stojącej w salonie na stole.

– To bardzo ładny dom – powiedziała kobieta, gdy zeszli na dół. – Ile pan sobie winszuje?

Winszuje, a to dobre. Nie słyszał tego słowa właściwie chyba nigdy. Gdzieś w literaturze przewijało się ono często, ale raczej w czasach „zamierzchłych”. Rozbawiła go i zaintrygowała tym jeszcze bardziej. *Za chwilę zapewne poprosi, żebym jej zamówił dorożkę.*

– Tak, dom rzeczywiście jest wart pewnej kwoty – rozpoczął delikatnie, zdając sobie sprawę, że wchodzi w najtrudniejszą fazę – negocjacje ceny.

Był dobry w takich rozgrywkach. Od kiedy skończył studia ekonomiczne na uniwerku, pracował w wydziale inwestycji Urzędu Miejskiego. Bardzo często pertraktował w różnych sprawach na dwa fronty – młotkiem, nie bez kozery, nazywał swojego szefa, dyrektora wydziału inwestycji UM (którego był zastępcą); kowadłem była zawsze druga strona – wykonawca danej inwestycji, inwestor, sponsor, bank czy petent. Nigdy jednak nie występował w sprawie swoich własnych pieniędzy, w dodatku tak dużych. Wielokrotnie nadarzała się okazja do zarobienia czegoś na lewo, ale nigdy się na taki krok nie zdecydował. Być może dlatego, że tak wychowali go rodzice – był cholernie uczciwy, czasem przesadnie, słyszał wręcz z tego. I gównem z tego miał. Urzędniczą pensję i trochę długów.

– Tak. Na pewno – odpowiedziała kobieta z rozbrajającą szczerością, po czym dodała bez ogródek: – Myślę, że jakiś okragły milion.

No masz! Kurwa, mógłbym wziąć od niej więcej! Nie pomyślał o tym przez chciwość, jedynie zawodowa żylka negocjatora zmuszała go do podbicia stawki. Wystawiła mu się tak od razu, oczywistym było, że zaakceptuje wyższą cenę.

– Przyznam szczerze, że myślałem o nieco większej kwocie. Ten dom wiele dla mnie znaczy, nie tylko w wymiarze finansowym – jej milczenie nieco zbijało go z tropu. – Żyły tu trzy pokolenia mojej rodziny...

Kobieta przyglądała mu się teraz z cierpliwym wyrazem twarzy i niczym wytrawny finansista grała ciszą. Wkurwiało go to, postanowił zrobić to samo.

– Rozumiem – odpowiedziała wreszcie ku jego uldze, choć tym razem mówiła niepokojąco stanowczo. – Ale na sprzedaż wystawił pan dom, nie wspomnienia.

Powoli docierało do niego, że źle ją ocenił. Jeśli przesadzi, może ją szybko zrazić, a przecież zależy mu na tych pieniądzach. *Trzeba uważać, zbyt trudno o kupca.*

– Ma pani rację – odpowiedział. – Wspomnień nie da się wycenić. Początkowo myślałem o cenie milion dwieście, więc jeśli chodzi o pani propozycję, muszę to spokojnie przemyśleć.

– Czy znalazł się już kupiec, który proponował panu milion za ten dom? – spytała przewrotnie.

– Na tyle wyceniły go biura nieruchomości – odpowiedział błyskotliwie. – Ale ja nadal twierdzę, że jest wart więcej. Dlatego nie mogę znaleźć kupca.

– Mam więc inną propozycję.

– Jaka? – nie krył zdziwienia.

– Opowie mi pan, jakie wspomnienia dotyczące tego domu są warte ceny jednego miliona dwustu tysięcy, a ja rozważę, czy również wycenię je tak wysoko jak pan.

Ona jest szalona. Niespełna rozumu. Nie, to kompletna wariatka! Muszę ją sptać. Muszę się napić piwa!

Wizyta z poprzedniego dnia, choć wzbudziła mieszane odczucia, napawała optymizmem, do którego nie przyznawał się nawet przed samym sobą. No bo i po co robić sobie nadzieję, jeśli to tylko mrzonka, wymysł jakiejś psychicznie upośledzonej, wchodzącej w zaawansowany wiek kobiety, która miała fanaberię, żeby zabawić się jego kosztem?

Podskórnie odczuwał jednak radość z tego spotkania. Niemal całą noc spędził bezsennie na analizowaniu jej wizyty minuta po minucie, starał się przypomnieć każde jej słowo. „Okragły milion” była to fraza, która budziła w nim największe napięcie, a jednocześnie nadzieję. Na pewno była skłonna tyle zapłacić. *Okragły milion!* – konstatował co jakiś kwadrans.

W końcu o czwartej nad ranem nie wytrzymał, zrzucił z siebie kołdrę, zsunął nogą kota, który zwykł przysypiać przy nim, opierając łapy i głowę o jego kolana. Maciek cichym miauknięciem dał wyraz swojego niezadowolenia, po czym dumnym krokiem opuścił pokój, leniwie przy tym ziewając.

Piotr zasiadł do komputera i otworzył witrynę Szpitala Uniwersyteckiego w Tianjin. Po zalogowaniu spojrzął na listę nazwisk. Widniał na drugiej pozycji, przed nim był jakiś pacjent o typowo angielskim nazwisku, a za nim kilkanaście kolejnych. Teraz był pewien, że dobrze zrobił, rejestrując się do kolejki już na początku kwietnia. Namówił go do tego przyjaciel, który był początkującym lekarzem onkologiem. Nie krył przed nim, że w tym stanie nie ma szans na przeżycie dłużej niż pół roku, bez względu na rodzaj chemii, jaką mu podadzą. „Chwytaj się wszystkich sposobów, chłopie – radził zdecydowanie. – Chińską metodę polecił mi mój profesor ze szpitala na Arkońskiej. Jest zupełnie inna od stosowanych w Europie. Polega na wprowadzaniu bezpośrednio do ognisk chorobowych niskich temperatur. Metoda bezpieczna, nowatorska i zupełnie nietypowa dla lekarzy Zachodu. Profesor powiedział nawet coś więcej – nieuznawana na Zachodzie. Tylko prosił, żeby się na niego nie powoływać, reputacja, rozumiesz”.

Tak, tak, wszystko rozumiał doskonale. Lekarze są od tego, by wygłaszać niepodważalne wyroki i zawsze mieć rację. Szanowny profesor z pewnością sam od razu pojechałby do Chin, gdyby tylko dowiedział się, że ma raka w podobnej postaci...

Wszystkie nazwiska znajdowały się na liście nieopłaconej, to znaczy, że jej członkowie nie wpłacili zaliczki, która umożliwiałaby przeniesienie na listę pacjentów „do przyjęcia”. Wystarczyło wpłacić sumę, bagatela, dwudziestu tysięcy dolarów i już było się kandydatem z wyznaczoną datą przylotu na terapię.

Jeszcze raz prześledził wszystkie zapisy i opinie na kilku forach internetowych. W kółko wracał do jednego przypadku niemieckiej sportsmenki – pływaczki, która poddała się terapii po tym, jak lekarze nie dawali jej szans na przeżycie. Pozwolił sobie nawet wysłać e-maila, na który odpisała i który napawał nadzieją...

Kolejne spotkanie w szpitalu onkologicznym na ulicy Strzałowskiej wzbudziło w nim znów negatywne odczucia. Pacjenci onkologiczni mieli bardzo specyficzny sposób bycia – ciągle licytowali się, a nawet można spokojnie stwierdzić, iż przechwalali się swoimi chorobami. A że ta ma raka tu, a tamta tam, a ten to z kolei ma nawet tu i tam... Wydarzeniem tego poranka był „występ” pewnej starszej kobiety, najwyraźniej wieloletniej palaczki. Miała zniszczoną twarz, ale za to bardzo bujną jak na jej podeszły wiek, siwą czuprynę. Wkroczyła do poczekalni w towarzystwie trzydziestolatka, który zapewne był jej wnuczkiem. Zlustrowała pacjentów oczekujących na konsylium lub zwykłą wizytę i zaczęła prowadzić swoiste śledztwo.

– Hmm, no to ładnie mnie załatwiłeś... – zwracała się najwyraźniej do wnuka, ujmując się pod boki. – Taaak, czy wszyscy państwo do gabinetu sto dwadzieścia trzy? Wszyscy rakowi?!!

Nie słysząc jednak wyraźnej odpowiedzi, a widząc jedynie ponure skinienia głową, postanowiła przyczepić się do konkretnej osoby. Padło na całkiem atrakcyjną kobietę w średnim wieku, siedzącą z głową zawiniętą chustą, która prawdopodobnie miała zasłaniać jej łysinę – efekt wykańczającej chemioterapii.

– Pani też rakowa?! – spytała z nieskrywanym zdziwieniem, rozsiadając się obok niej, a widząc znów jedynie delikatne i dość wstydliwe skinienie głową, dodała: – Niemożliwe! A taka ładna buźka... No kto by pomyślał.... A gdzie się ten cholernik u pani usadowił?

Wnuczek, widząc zażenowanie kobiety i przeczuwając najwidoczniej, co może jeszcze się wydarzyć, bezskutecznie próbował odciągnąć babcię od swojej ofiary.

– Na piersi – dyskretnie odpowiedziała kobieta. – A potem przerzuty...

– O Boże! – odkrzyknęła na to babcia. – Taka młoda, taka piękna i już panią zaatakował. I to na piersi. Moje biedactwo, jakże mi pani szkoda!

Po policzku kobiety spłynęła łza. Staruszka zaś, nie zważając na publiczność w poczekalni, położyła obie dłonie na dłoniach kobiety:

– Nie martw się moje dziecko, będzie dobrze, ja mam na płucach i pęcherzu... A teraz to chyba nawet na wątrobie...

Jak pragnę zdrowia, tego już za wiele – pomyślał Piotr. – Kolejna licytacja! A już myślałem, że to jakaś nowa jakość w tej poczekalni...

W tym momencie z gabinetu 123 wyszedł pacjent – mężczyzna koło pięćdziesiątki z wychudłą i zrujnowaną twarzą i nie lepszą resztą ciała. Ledwie powłóczył nogami, wyraźnie zmartwiony. Przyszedł sam, nikt nie czekał na niego przed drzwiami gabinetu. To jeden z największych błędów, jakie popełnia rodzina – zostawić bliskiego w chorobie samemu sobie. Ale takich samotnych było tu sporo. Piotr należał także do tej grupy, choć wykazywał dużo większą od pozostałych chorych determinację i opanowanie oraz powściągliwość.

Na szczęście przyszła jego kolej i nie musiał już dalej słuchać licytowania się w dolegliwościach i wyliczania, kto umrze pierwszy. W gabinecie siedział za biurkiem doktor Zalewski, który jak zwykle z szacunkiem wstał i powitał go uściskiem dłoni.

Jego karta leżała na biurku, ale doktor wydawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi. Przypadek Piotra był beznadziejny, wiedział to doskonale i nie chciał tego kryć. Bardzo nikłą szansę mogła dać jedynie terapia niestandardowa. Nazywana „niestandardową” jedynie ze względu na brak pieniędzy w systemie zdrowotnym. W krajach Europy Zachodniej terapię tę stosuje się u każdego zakwalifikowanego pacjenta, ale nie w Polsce. Stanowiło to istotny problem, ponieważ w przypadku Piotra chodziło o czas. Sam wniosek o zastosowanie terapii leżał przed lekarzem, gotowy do podpisania.

– Niestety, odpowiedzi z NFZ-u nie ma co spodziewać się przed upływem miesiąca – spojrzał znacząco na Piotra. – Może nawet trzech.

Jasne, kurwa, NFZ.

Widząc niepokój pacjenta, doktor Zalewski starał się uspokoić go swoim stanowczym spojrzeniem, które przetrenował już na tysiącach pacjentów i zwykle działało. Tym razem jednak nie odniosło zamierzonego skutku.

– Staram się panu pomóc...

– Proszę mi wybaczyć doktorze – odrzekł spokojnie Piotr – ale do niczego to nie doprowadzi. No może poza moją niechybną śmiercią. Ja podjąłem już inną decyzję.

Lekarz z wrażenia zdjął okulary i położył je przed sobą. Podparł brodę rękoma i zapytał nienaturalnie niskim tonem:

– Mianowicie?

– Jadę na terapię do Chin. Podjąłem już odpowiednie działania, by pozyskać środki. To kosztowna sprawa.

Doktor Zalewski włożył z powrotem okulary, jakby chciał ukryć ciekawość, ale i rezygnację. Pokiwał lekko głową, udając zrozumienie.

– Pana choroba jest bardzo poważna. Nie będę więc odwoził pana od jakiegokolwiek próby ratowania zdrowia – oznajmił. – Choć osobiście uważam, że gdybyśmy spróbowali przyspieszyć procedurę w NFZ-ie...

Mimo iż Piotr szanował starszego w końcu i wykształconego lekarza, postanowił trzymać się swojej decyzji i zaprzestać jakiegokolwiek dyskusji na ten temat.

– Mam za sobą dziesięć lat pracy zawodowej, którą rozpocząłem od razu po pięcioletnich studiach. Co miesiąc pracodawca potrąca z mojej pensji odpowiedniej wysokości składki, bym miał gwarancję... Nie, nie – zaprzeczył odruchowo – raczej poczucie, tak poczucie, że jestem zabezpieczony, że moje zdrowie jest, ujmijmy to tak, zagwarantowane. Tymczasem, kiedy przychodzi poważny problem zdrowotny, sztab ludzi, żyjący między innymi z moich składek, będzie się trzy miesiące zastanawiał nad słusznością ratowania mojego życia... – w tym momencie nagle dotknął go bezsens tego, co mówi. – Krótko mówiąc, dziękuję za pana starania doktorze, a NFZ mam głęboko w dupie.

Wstał gwałtownie z krzesła i, nie żegnając się nawet oględnym „do widzenia”, opuścił gabinet.

Dojechał pod Urząd Miejski przy placu Armii Krajowej dopiero po jakiejś godzinie. Krążył bezsensownie autem po mieście w patrolowym tempie, wpatrując się po drodze w straszące odpadającym tynkiem i wystającymi cegłami kamienice śródmieścia. Skonstatował bez żalu, że najpewniej nie będzie mu dane dożyć jakiegokolwiek świetności tego miasta. Nie mówiąc już o tych „Fruwających Ogrodach”, jak to mówi się potocznie o projekcie miejskim „Floating Garden 2050”.

Potem zaczął zastanawiać się nad sensem pracy w sytuacji, gdy podjął już ostateczną decyzję. Sprzedaż mieszkania rozwiązywała większość jego bieżących problemów. Ale co by

było, gdyby ta dziwna starsza paniusia się wycofała? Znowu czekałby na kupca przez kilka miesięcy, a przecież nie miał tego cholernego czasu. *Tylko czas, cholerny czas. Kto go w ogóle wymyślił?*

W końcu zdecydował się na zaparkowanie samochodu w najbliższym wolnym miejscu przy ulicy Felczaka, skąd było niedaleko do skrzydła rozległego budynku będącego siedzibą władz i administracji miejskiej. Trzepnął drzwiami swojej dziesięcioletniej skody, dając upust złości, i udał się do znienawidzonego miejsca pracy.

Jego gabinet mieścił się na pierwszym piętrze. Zanim wszedł, dojrzał swoją sekretarkę stojącą w drzwiach. Mrugała do niego porozumiewawczo okiem. Zatrzymał się zaskoczony i nieco zbity z tropu jej zachowaniem. *Głupia kokietka!* Pomyślał, że gotowa za chwilę skoczyć mu w ramiona. *Co ona sobie wyobraża?!* Poszedł z nią raz do łóżka, na wyjeździe integracyjnym w Pogorzeliczy organizowanym przez jego wydział, ale to była potworna pomyłka. Wypili za dużo, nawet nie pamięta, co dokładnie robili. A na drugi dzień przyjechał po nią mąż, którego przedstawiła mu bez żadnych zahamowań. Co więcej, wychwaliła Piotra jako „najlepszego szefa pod słońcem”. Po prostu było mu szkoda faceta. Nie wydarzyło się to tak dawno temu i potem kategorycznie zażądał, aby „sytuację” tę puścili w niepamięć. Ale ona wcale nie odpuszczała, często zachowywała się wobec niego niedwuznacznie. *I dalej mruga, kiwa tą głową.* W dodatku znów wyglądała bardzo pięknie z tym wyrazistym, czarnym makijażem i matowymi, beżowymi, wydatnymi ustami... *Jak pragnę zdrowia, zaraz podejdę i ją zwolnię za takie zachowanie. No co za durne babsko, no!*

Ale zaraz, zaraz... Po chwili zorientował się, że sekretarka wskazuje na małą poczekalnię przed jego gabinetem. Zmieształ się jeszcze bardziej, znowu źle ocenił sytuację. Skinął, aby podeszła do niego. Nie wchodził dalej, aby nie dostrzegli go goście w poczekalni.

– Ten śmieszny gogusiowaty blondyn z tej niemieckiej firmy czeka na ciebie – szepnęła mu do ucha. – Zdaje mi się, że za nim nie przepadasz?

– Kurwa – wyrwało mu się. – Zadzwoń do ciebie za chwilę. Powiedz mu, że mnie już dzisiaj nie będzie.

Odrzucił się na pięcie, po czym zaraz zwrócił się do niej jeszcze raz.

– Izka... dzięki.

– Nie ma za co – uśmiechnęła się i zamrugowała radośnie oczami.

Teraz naprawdę był jej wdzięczny. Facet był mniej więcej w jego wieku. Odwiedzał go już wielokrotnie i był bardzo nachalny, potrafił całymi godzinami przekonywać Izkę, aby umówiła go na spotkanie z szefem, a potem siedział mu na głowie i truł o tym cholernym wykopie na ulicy Łady.

Przebudową ulicy zajmował się od pół roku Zarząd Dróg i Transportu Miejskiego, ale nie mógł jej ukończyć, bowiem podczas kopania natrafiono na jakiś stary tunel biegnący pod ulicą. Eksperci nie potrafili oszacować ani jego długości, ani jakim konkretnie celom służył. Podejrzewali jedynie, że był częścią infrastruktury podziemnych schronów niemieckich, które rozbudowywano w czasie wojny.

A ten upierdliwy goguś nie dawał za wygraną. Reprezentował niemieckiego inwestora, jak sam to określał „nieprzeciętnie zamożnego inwestora”, który był zainteresowany odtworzeniem tunelu. Próbował nakłonić Piotra, żeby ten zgodził się na rozpoczęcie nowej miejskiej inwestycji, która miałaby na celu odtworzenie podziemnej infrastruktury w okolicach Odry. Pomysł w rzeczy samej może nie był zły, ale wiązał się z komplikacjami formalno-prawnymi, procesem inwestycyjno-projektowym, no a przede wszystkim z zamknięciem na dłużej całej nitki ulicy. Nie było nawet mowy o zgodzie na tego typu zakłócenia.

Jego przemyślenia przerwał niespodziewany widok. Nagle, niczym zjawa, pojawił się przed nim błady blondyn z głupim, sztucznym uśmiechem.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – skinął głową.

Skąd on się tu nagle wziął, u diabła?

– Witam – uścisnął mu niechętnie rękę.

– Ma pan chwilę?

Cholera, znowu wpadłem.

– No dobrze, chodźmy do mojego gabinetu – zaproponował Piotr, na co blondyn stanowczo zaprotestował.

– Wolałbym gdzieś w ustronnym miejscu...

Zabrzmiało to dziwnie i wzbudziło w Piotrze podejrzenia, ale i zainteresowanie. Ostatecznie poszli do stołówki, gdzie gwar i szum pozwalały zupełnie swobodnie rozmawiać, bez zwracania na siebie większej uwagi. Zamówili po kanapce z szynką, gorącej herbacie i usiedli przy ustronnym stoliku.

– Mój pracodawca bardzo mocno naciska... – rozpoczął bez ogródek blondyn, nie tykając kanapki ani herbaty. – To jest wyjątkowa okazja. Ten wykop daje szansę na odtworzenie czegoś niepowtarzalnego...

Piotr tracił cierpliwość, lecz nie dał tego po sobie poznać.

– Doskonale rozumiem zniecierpliwienie pana szefa, ale...

– Proszę posłuchać – przerwał mu blondyn, wyraźnie zmieniając taktykę. – Będę z panem całkowicie szczery.

Rozejrzał się po barze, upewniając się, że nikt nie dosłyszeli ich rozmowy.

– Mój pracodawca zdecydował się wesprzeć pana decyzję czymś bardzo konkretnym.

Piotr chrząknął. Na razie jednak milczał, co blondyn uznał za dobrą monetę.

– Jakkolwiek śmiesznie to zabrzmiało, to, co powiem, jest absolutnie szczerze i pozostaje między nami. Jeśli się pan zgodzi, otrzyma pan wsparcie finansowe w wysokości okrągłego miliona...

Piotr prychnął i gorąca herbata znalazła się częściowo na nakryciu stołu, wazoniku ze sztucznymi kwiatami, a także na krawacie blondyna. Nie zdążył nawet wytrzeć ust chust-

ka, gdy blondyn dopowiedział dwa słowa, nie przejmując się w najmniejszym stopniu herbatą na swoim ubraniu:

– Euro, oczywiście.

– Cześć! – zawołała radośnie Marta, gdy otworzył jej drzwi. Była szczęśliwa, że spędzi z nim ten wieczór. Wiedziała o jego kłopotach zdrowotnych i chciała poświęcać mu jak najwięcej czasu i uwagi, nie było to jednak łatwe. On sam nie był zainteresowany wspólnym zamieszkaniem, nie chciał, żeby przeprowadziła się do niego, co więcej spotykał się z nią tylko wtedy, kiedy naprawdę nalegała. Sam nie zadzwonił z taką propozycją już od kilku tygodni. Martwiła się o niego. Czuli, że Piotr zaniedbuje sprawę swojej choroby i nie przykłada należytej uwagi do spraw, które powinien rozwiązać jak najprędzej. Odnosiła nawet wrażenie, że się po prostu poddał i robi wszystko dla czystej formalności.

– Jesteś – stwierdził, uśmiechając się nikle. – Wejdz, proszę.

Przekłeta jest ta miłość – pomyślała, czując bijący od niego chłód. Chciała rzucić mu się w ramiona, może nawet doszłoby do czegoś więcej...

– Myślałam, że się ucieszysz na mój widok – wyrzuciła, stojąc w salonie.

– Noo, oczywiście, że się cieszę...

Cały urok prysł. Usiedli przy stole i popijali herbatę. Rudy kocur postanowił towarzyszyć kobiecie – robił tak zawsze, gdy przychodziła. Nawet jeśli Marta i Piotr łądownali w łóżku, kot spokojnie przyglądał się ich namiętności, siedząc w kącie pokoju.

Piotr opowiedział jej o swojej ostatecznej decyzji, że rezygnuje z leczenia w Polsce i chce spróbować alternatywnego leczenia w Chinach. Oczywiście wspomniał także o konieczności sprzedaży domu i kobiecie, która złożyła mu dość dzi-

waczną propozycję kupna, ale przemilczał ofertę blondyna. Co chwila spoglądał przy tym na zegarek.

- Jesteś z kimś umówiony? – zdecydowała w końcu spytać.
- Właściwie nie... – zająknął się. – A właściwie to tak.

Ciepłe, słoneczne popołudnie dogadzało osiedlowym pijaczkom obsadzającym niemal wszystkie wolne ławki przy chodnikach. Obficie raczyli się piwem, a opróżnione puszki rzucali gdzie popadnie. O tej przedwieczornej porze byli już w większości zamroczeni i tylko od czasu do czasu zdobywali się na jedyny wart zachodu wysiłek – sownie „podlewali” pobliskie osiedlowe krzewy lub po prostu bramę najbliższego wieżowca, nie bacząc na przechodzących obok ich własnych sąsiadów.

Marek, wychodząc z bloku, natknął się na jednego z nich pod bramą i po raz kolejny uświadomił sobie konieczność przeprowadzenia się do cywilizowanego osiedla. Co prawda, mieszkał w samym centrum Szczecina w jednym z popeerelewskich blokowisk, ale standard życia w tak „doborowym” towarzystwie i hałasie miejskim nie sprzyjał dobremu samopoczuciu. *Oby jak najprędzej* – pomyślał z nadzieją, gdy pijaczyna, który mieszkał przecież piętro wyżej w jego bloku, właśnie zapinał rozporek, mierząc go przy tym zezowatym, zapijaczonym spojrzeniem, po czym szerokim łukiem usunął się z drogi. Woń świeżej uryny nie była tu żadną nowością.

- Znowu nalał, menda jedna – skwitował pod nosem sąsiad nadchodzący od strony parkingu. – Tylko łać ich po tych zapijaczonych gębach!

- To nic nie da... – stwierdził bezsilnie Marek i aby uniknąć dyskusji z sąsiadem, pospieszył w stronę dużego blaszaka, dominującego nad śródmieściem i zachęcającego tłumy turystów niemieckich do skorzystania z niższych cen po tej stronie granicy. Było to oczywiście centrum handlowe Galaxy, mające

według założeń być dopełnieniem dla śródmiejskiego kompleksu Radisson-Pazim, choć wyglądało bardziej jak sklecona na poczekaniu obora z blachy falistej w biednej chińskiej wiosce.

Zakupił odpowiednią ilość piwa na spotkanie ze swoim przyjacielem Piotrem, z którym umówił się na wieczór, i opuścił z ulgą zatłoczone centrum handlowe, udając się przejściem podziemnym na przystanek tramwajowy.

Pojawił się u Piotra pół godziny później. Od razu spostrzegł, że ten jest nie w humorze. Znali się od najmłodszych lat, w latach osiemdziesiątych chodzili do tej samej klasy w podstawówce. Już wtedy byli najlepszymi kumplami, ale ich drogi rozeszły się przy następnym etapie edukacji – Piotr poszedł do jednego z lepszych ogólniaków, do „Pobożniaka”², a on trafił do technikum, bo na dostanie się do liceum nie miał po prostu szans – nauka nigdy nie była jego mocną stroną. Mimo to ostatecznie dogonił Piotra, kiedy podjął i ukończył studia na uniwerku. Gdy obronił swoją pracę magisterską, Piotr pracował już w Urzędzie Miejskim, a parę lat później został kierownikiem, a potem zastępcą dyrektora w dziale inwestycji UM.

– Coś się stało stary? – spytał z niepokojem.

– Marta... – odpowiedział Piotr, biorąc reklamówkę z dumnie brzmiącą nazwą „Real – udane zakupy”. – Przed chwilą wyszła, znów się pokłóciliśmy.

– Nie pierwszy... – palnął natychmiast, machając symbolicznie ręką, po czym zastanowił się przez moment – i wiesz, jak to jest, pewnie nie ostatni raz.

Marek znów znalazł się w niezręcznej sytuacji. Nie znał powodu dzisiejszego spotkania z Piotrem, ale zakładał, że chodzi o coś ważnego. Tymczasem zaczynał nabierać podejrzeń, że to znów Marta będzie jedynym tematem... Ich związek nigdy nie należał do idealnych i takie ciężkie okresy przechodzili dość często, Marek jednak nie chciał być znowu pocieszycielem, tłumaczącym przyjacielowi oczywistą oczywistość,

² *Liceum Ogólnokształcące nr 2.*

że życie nie jest przecież takie proste... Po chwili narzekań, sytuacja przybrała jednak zupełnie inny obrót.

– Nie zaprosiłem cię tu na pogaduszki o Marcie – stwierdził Piotr. – Muszę się kogoś poradzić w pewnej delikatnej sprawie, a nie mam specjalnie kogo. Wiesz, jak to jest.

Marek zmierzył go spojrzeniem.

– Moja choroba – zaczął Piotr nieco rozklejony, choć opamiętany. – Tu nie ma czasu na jakieś próby i zabawy. Krótko mówiąc, nie zostało mi zbyt wiele czasu.

Marek dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak poważny jest stan przyjaciela. Po zupełnie normalnym zachowaniu Piotra wnosił, że guz jest łagodny i wymaga tylko większej uwagi oraz zwyczajowego leczenia.

– Piotr, nic nie mówiłeś...

– Nie przerywaj – uciał obcesowo. – W każdym razie potrzebuję ogromnej sumy na alternatywne leczenie w Chinach.

– Jak to?!

– Inaczej ci nasi lekarze, zresztą razem z NFZ-em, skążą mnie tu na pewną śmierć. Nie mam innego wyjścia, musisz mi wierzyć.

– Ile potrzebujesz? – spytał bezradnie Marek. – Piotr, wiesz, że ja nie mam zbyt wiele...

– Nie o to chodzi!

Piotr ruszył do kuchni po kolejne dwa zimne browarki, a rudy kot zerwał się z kanapy, gdy tylko usłyszał dźwięk otwieranej lodówki. Piotr nalał mu do miski odrobinę piwa, które rudzielec natychmiast wyżył.

– Dobrze piwko... – zażartował Piotr.

– Słuchaj, Piotr – zagaił Marek, nie czekając, aż ten skończy nalewać piwo do kufli. – Może ja mógłbym ci zorganizować pożyczkę u nas w banku...

– Nie, nie – przerwał mu, siadając znów na kanapie. – Mówimy o naprawę dużych pieniądzech. Ale sęk w tym, że w ostatnim czasie otrzymałem, jak mi się wydaje, pomocną dłoń. Nie wiem, jak to nazwać... Od samego Boga? – par-

sknął pustym śmiechem, co tylko wzmogło ciekawość kolegi. – W każdym razie ostatnio otrzymałem dwie dość ciekawe propozycje. Pierwsza z nich to zakup mojego mieszkania za okragły milion.

– Super!

– Tak, ale obawiam się, że osoba oferująca tę sumę ma... jakby to powiedzieć... ma chyba coś z głową.

– Jak to?

– Sam nie wiem – zamyślił się. – Ona zachowywała się, jakby zależało jej na obejrzeniu mieszkania, poznaniu jego historii... Wiesz, jakby samo kupno nie było zupełnie istotne.

– Nic nie rozumiem.

– No właśnie – odpowiedział Piotr, spoglądając ze zdziwieniem na swój niemal pusty kufel. – I dlatego mimo wszystko traktowałbym ją jako ostateczność. Tym bardziej w kontekście drugiej propozycji, jaką niespodziewanie otrzymałem wczoraj.

Gdy Piotr skończył opowiadać o swoim spotkaniu z reprezentantem niemieckiego inwestora, Marek wydawał się głęboko zaniepokojony. Zasłonił pustym już kuflem oczy, jakby chciał schronić się przed słyszanyimi słowami i przed samym Piotrem.

– Słuchaj – zaczął, odchrząkując przy tym nieśmiało. – To jest... To chyba jest... Korupcja? Po prostu przestępstwo... Ty chyba nie myślisz o tym poważnie? Milion euro?!!

– To o wiele lepsze od dobijania transakcji z jakąś niespełna rozumu kobietą! – odpowiedział ze złością Piotr. – Wiesz, że nikt nie chce dać za ten dom więcej niż czterysta tysięcy! Ta baba, jak pragnę zdrowia, ma nierówno pod sufitem, to wariatka... W tej drugiej sprawie układ jest o tyle prosty, że ja faktycznie mogę wpłynąć na zmianę charakteru tej inwestycji na ulicy Łady. Co prawda, nie byłoby to do końca zgodne z procedurami, ale...

– Nie, proszę cię – przerwał mu przerażony Marek. – Ja nawet nie chcę o tym słyszeć. Mówimy tu ewidentnie o przekręcie! I to na milion euro! Kurwa, Piotrek, ty chyba zupełnie oszalałeś?

Zapadło milczenie. Obaj chcieli je przerwać, ale nie było to łatwe.

– A nie zastanawiałaś się, po jaką cholere oni chcą zapłacić taką sumę za rozkopanie tego rowu?! – zdroworozsądkowo rzucił w końcu Marek. – Przecież to się kupy nie trzyma!

– W dupie mam to, po co im ten rów. Tu chodzi o moje życie – odpowiedział Piotr, odchodząc z kuflami w stronę kuchni.

– I potrzebujesz kogoś takiego jak ja! – Marek natychmiast podążył za nim. – Stary kumpel godny zaufania, który będzie mógł ci pomóc w razie czego... Który pracuje w banku i pomoże ci jeszcze zalegalizować tę drobną sumę, a potem w razie czego będzie świadkiem na twoim procesie...

– Jak nie chcesz, to cię nie namawiam – zupełnie spokojnie stwierdził Piotr. Wyciągnął kolejne piwka z lodówki i znowu nalał odrobinę kotu.

– Piotr! – krzyknął Marek. – Obudź się! Tu chodzi o milion euro, to lekko licząc cztery miliony złotych w zależności od kursu! – krzyknął, po czym zawiesił głos, a na jego twarzy powoli pojawiał się dziwny grymas. – Mam nadzieję, że mi też coś z tego skapnie?

Piotrek spojrział na niego z niedowierzaniem, jednak szelmowski uśmiech Marka wyjaśniał wszystko. Miał wyraz twarzy dzieciaka z podstawówki. Czasem knuli coś razem, na przykład próbowali przechytryć nauczycielkę od polskiego albo wzajemnie pisali sobie usprawiedliwienia za nieobecność. Ale teraz sprawa była o niebo poważniejsza, a Marek wyglądał, jakby mieli spłacać figla najładniejszej koleżance z ławki obok... Podał mu kufel i stuknęli się energicznie, wypijając niemal do dna. Potem należało omówić, przynajmniej pobieżnie, sposób, w jaki taka gotówka zostałaby zalegalizowana. Marek zdecydowanie nadawał się do tego, nie tylko ze względu na doskonale rozeznanie ekonomiczne i bankowe, ale także ze względu na swój charakter.

Kolejne kufle piwa mijały w tonie coraz większego entuzjazmu...

Na taksówkę było mu jednak trochę szkoda pieniędzy. Praca w banku – no to jest przecież prestiż? *Chuj tam, a nie prestiż!* – pomyślał w typowo pijackim stylu, sunąc chwiejnym krokiem chodnikiem wzdłuż ulicy Wojska Polskiego. Za następnym domem odbił w lewo, w stronę parku Kasprowicza. Noc już dawno zapadła, dlatego opustoszały park wywoływał wrażenie osamotnienia, zdecydowanie zniwelowane jednak przez działanie wypitego alkoholu.

Ostatnią zapamiętaną rzeczą był widok nadchodzącego z naprzeciwka szybkim krokiem mężczyzny. Potem była już ciemna pustka.

– I jak się panu podoba ta historia? – spytała nagle kobieta, przerywając bardzo długą opowieść.

Początkowo opowiadanie kobiety wydawało się Piotrowi typową historią rodzinną, która może interesować jedynie zaangażowane w nią osoby, nikogo z zewnątrz. Dopiero po kilkunastu minutach złapał się na tym, że wsłuchuje się w każde jej słowo z coraz większą uwagą, nie próbując nawet domyślać się, po co mu to wszystko mówi. Pomyślał przez chwilę, że albo miała niesamowity talent oratorski, albo po prostu faktycznie opowiada mu historię, która łączy do jakiejś ważnej puenty. Z zaznaczeniem, że do puenty jeszcze bardzo daleka droga.

Nie wiedział nawet, co odpowiedzieć. Dawno nikt nie opowiadał mu niczego w tak zaangażowany i interesujący sposób. Sączyl przy niej już drugiego bosmana, który miał być remedium na kaca – efekt wczorajszej nasiadówki z Markiem. Cieszył się, nawiasem mówiąc, że ona nie ma nic przeciwko. Sama nie tknęła jeszcze kawy, zaparzonej jakieś dwadzieścia minut wcześniej. Jej wizyta nie była zapowiedziana. Piotr

miał na głowie o wiele ważniejsze kwestie: rozkop na ulicy Łady i wczorajsze ustalenia na ten temat z Markiem – obiecał mu przecież, że razem wezmą udział w przekręcie wartym milion euro. Ale oferta kobiety i jej wyraźna aktywność sugerowały, że jeśli z przekrętu na Łady nic nie wyjdzie, to ona stanie się jego poduszką powietrzną. Mimo wszystko żałował jednak, że pozwolił kobiecie wejść tak wcześnie rano i rozpocząć wciągającą opowieść. A praca? Oczywiście zadzwonił do Izki i oznajmił, że bardzo źle się czuje i że go dziś po prostu nie będzie.

– Muszę powiedzieć – zebrał się na szczerość – że to dość interesująca historia, choć nie wiem, po co mi ją pani opowiada. O ile pamiętam, pani warunek był dokładnie odwrotny – to ja miałem swoimi opowiadaniem przekonać panią do zakupu mieszkania.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Przyjdzie i na to czas – stwierdziła krótko. – Wróćmy jednak do grudnia roku siedemdziesiątego.

Kto właściwie wydał rozkaz użycia broni – tego nie było wiadomo. Nikt nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Właściwie brakowało do tej beczki prochu już tylko malutkiej iskry i tego Jan obawiał się najbardziej. Incydent zamienił się w potężny miejski protest, w który zaangażowało się tego dnia kilkanaście tysięcy demonstrantów, czy też chuliganów i bandytów – jak woleli to nazywać wyżsi oficerowie Urzędu Bezpieczeństwa i prominentni działacze KW PZPR, którego siedziba przy placu Żołnierza stała już od wczesnego popołudnia w płomieniach. Zresztą wszyscy ci działacze ewakuowali się przed nadciągającym pod ich siedzibę tłumem w obstawie funkcjonariuszy, niekiedy w pośpiechu skacząc nawet z okien swoich gabinetów...

- Czego się gapisz jak wół na malowane wrota?! - ryknął kapitan Malinowski, który był jego bezpośrednim przełożonym. - Strzelaj, kurwa, bo nas tu zaszlachtują te skurwysyny!

Z obszernego dwuskrzydłowego okna na trzecim piętrze Komendy Wojewódzkiej MO miał doskonały widok na cały rozszalały tłum, a także oddziały milicji, ZOMO oraz oddział WOP-u wezwany przez dowództwo na pomoc. Na powoli poruszające się w tłumie opancerzone skoty wskakiwali co bardziej sprawni stoczniowcy. Transportery próbowały rozjeżdżać tłum, ale w końcu i tak bezradni kierowcy poddawali się, a uzbrojone oddziały milicyjne często pozostawały wewnątrz pojazdów, bojąc się linczu.

Grupa demonstrantów przyniosła z pobliskiego placu pod bramę główną Komendy szalupę ratunkową, która na co dzień służyła dzieciom do zabawy. Najwyraźniej szykowali się oni do szturmowania ciężkich dwuskrzydłowych zaryglowanych drzwi. Próby ich staranowania były na szczęście bezskuteczne. Jeden ze skotów stojących w pobliżu komendy zaczął się palić, najprawdopodobniej został obrzucany koktajlami Mołotowa.

Jan nie był w stanie określić, kiedy padł pierwszy strzał, po którym zaczęła się strzelanina. W jego oknie kapitan Malinowski wystrzelał niemal od razu cały magazynek, celując najwyraźniej w tłum.

- No strzelaj, kurwa! - przekrzykiwał nerwowo odgłosy strzałów i całą wrzawę.

Jan niepewnie wysunął rękę z pistoletem za otwarte okno i unosząc lufę do góry, oddał trzy, może cztery strzały. Udawał tylko, że mierzy tam, gdzie Malinowski. Nie potrafiłby zabić niewinnego człowieka, choć wiele razy podczas swojej służby w bezpieczeństwie musiał już używać przemocy. Zawsze bał się tego, bez względu na ilość lat, jakie przepracował w służbie PRL-u. Z niższego piętra dochodziły odgłosy całej serii wystrzałów. Milicjanci bez skrupułów używali dostępnej broni w obawie przed rozszalałym tłumem. Na placu przed komendą padali zbroczeni krwią ludzie.

Wracał do domu bardzo późno. Na wyludnionych ulicach królowały prawie wyłącznie opancerzone jednostki MO, ORMO, pojazdy 12. Dywizji Zmechanizowanej, a także 12. Dywizji WOP i diabeł wie, jakie jeszcze. W każdym razie oblicze Szczecina wydawało mu się teraz znacznie bardziej ponure niż w maju 1945 roku. Bo choć niemal doszczętnie zniszczone, było wtedy wolne. Teraz jest całkowicie ubezwłasnowolnione, mimo iż w dużym stopniu odbudowane. A minęło zaledwie ćwierć wieku. Pomyślał przez moment o własnym położeniu, choć bardzo tego nie lubił - on też się zmienił od tamtego czasu...

Już w pobliżu domu dostrzegł dwóch rozmawiających mężczyzn. Jednym z nich okazał się sąsiad, który na widok Jana szybko odwrócił się plecami i zabrał swojego towarzysza do domu. Rzucił mu jeszcze przed samymi drzwiami niezbyt przyjazne spojrzenie.

Wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że pracował w MO, choć swoją pracę na rzecz Urzędu Bezpieczeństwa starał się trzymać w ścisłej tajemnicy. Nawet jego własna żona nie wiedziała, że jest funkcjonariuszem SB.

Tym razem przywitała go w drzwiach, zniecierpliwiona spytała tylko o jedno:

- Słyszałam, że zginęli ludzie?

Skinął bezradnie głową, nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Jego małżeństwo od samego początku poddane było próbie, o której wiedział tylko on sam. Z czasem przyzwyczał się do takiej sytuacji i całą ciemną stronę swojego życia zostawiał gdzieś w dalekich zakamarkach ubeckich pokoi i gabinetów. Mieli tylko jedną córkę, która należała do pokolenia zbuntowanych studentów - potajemnie organizowała z przyjaciółmi spotkania, na których czytali niedostępne i zakazane pozycje literackie. Notabene nie była wcale dumna ze swojego ojca milicjanta. Nawet tego niebezpiecznego wieczoru nie było jej w domu. Dom przy Wojska Polskiego, w którym zamieszkał na stałe w 1946 roku, był dla nich po prostu za

duży. Nawet ogromny wilczur Rex, traktowany przez nich jak pełnoprawny członek rodziny, nie wypełniał wszechogarniającej pustki. Jan miał już prawie pięćdziesiątkę i nadal bardzo chciał mieć syna...

– Przepraszam – wtrącił się nagle Piotr. – Czy pani nie opowiada przypadkiem o... o tym domu?

Kobieta nie zareagowała.

Następnego dnia w „Kurierze” i „Głosie Szczecińskim” wśród wielu obszernych artykułów pojawiły się wzmianki, skorygowane przez cenzurę, o aresztowanych i rannych bandytach, którzy odnieśli obrażenia w wyniku starć z oddziałami Milicji Obywatelskiej. Poczta pantoflowa niosła o wiele gorsze wieści – zginęło kilkunastu stoczniovców. Sam widział ich padających, zbroczonych krwią na placu przed Komendą. Przecież oni chcieli tylko chleba. Zbuntowali się przeciwko reżimowi. Pierwszy sekretarz Gomułka, mimo trudnej sytuacji gospodarczej w kraju, zdecydował na dwa tygodnie przed świętami podnieść ceny większości produktów spożywczych. Ale przecież były także obniżki – na produkty, których w sklepach i tak nie było już od lat. Najbardziej mizernym elementem tej całej farsy była nawet nie tyle zapowiedź obniżek cen dóbr luksusowych, jakimi były choćby telewizory czy pralki, na które i tak było stać niewielu, ile zapowiedź obniżek cen lokomotyw. No i w efekcie Szczecin, pogrążony w marazmie, otrzymał nowe zbuntowane i krwawo tłumione oblicze. Był jednym z ważniejszych, jeśli nie najważniejszych miejscem i przykładem doskonałej samoorganizacji zwykłych ludzi w powszechnym proteście przeciwko władzy.

Nie miał siły pójść do pracy. Znowu do tej pracy.

Narada w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa trwała od samego rana. Jan wpadł na nią mocno spóźniony i jeszcze bardziej zrezygnowany. Nikt nie robił mu jednak wyrzutów.

- Musimy ustalić coś z prokuratorem - indagował szef szczecińskiej SB pułkownik Głowacki. - Niech napiszą, że to był wylew czy jakaś inna przypadłość. Wystarczy nam tych trupów na placu.

Dopiero późnym wieczorem wczorajszego dnia zorientowano się, że w jednym z mieszkań kamieniczek profesorskich po drugiej stronie placu, naprzeciwko gmachu KW MO, starsza kobieta dostała rykoszetem w głowę i zmarła wskutek postrzału. Nie mógł uwierzyć, podobnie jak inni funkcjonariusze, że mogło dojść do takiego przypadku. Śmierć kobiety udowadniała niezbicie, że użyto broni i że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wezwana karetka, prokurator... We wczorajszym zamieszaniu wszystko można było zataić - zabitych stoczniovców, nawet jednego ucznia technikum. Cichy pogrzeb, zastraszenie rodziny. Ale ten przypadek był zupełnie inny, trudny do zatajenia.

- Wymyka nam się to spod kontroli - przyznał ostatecznie kapitan Malinowski.

Pułkownik Głowacki zmierzył go ponurym spojrzeniem.

- Trzeba powiadomić pierwszego sekretarza.

Jan zastanawiał się, czy pierwszemu sekretarzowi Antoniemu Walaszкови zrobi jakąkolwiek różnicę jeden trup więcej w szafie pod nazwą Szczecin. Jeszcze wczoraj Walaszek mógł zapobiec wszystkiemu, kiedy komitet strajkowy w stoczni imienia Warskiego przed wyruszeniem pod pałac Grubego³ zażądał rozmowy z nim. Ale on po prostu stwierdził, że z „motłochem” rozmawiać nie będzie. I wywołał w ten sposób reakcję łańcuchową.

Głowę Jana zaprzętało jednak inne pytanie - czyja to kula zabłąkała się do mieszkania ofiary? I coraz bardziej nie dawało mu ono spokoju.

³ Stoczniovcy nazywali tak siedzibę KW PZPR.

– Kim jest Jan? – niespodziewanie Piotr przerwał opowieść kobiety. – I dlaczego pani opowiada mi tę historię?!

Spojrzała znacząco na zegarek, lekko się uśmiechnęła i, ignorując pytanie, kontynuowała opowieść.

Zaraz po naradzie, a było to 18 grudnia, wyszedł z gmachu komendy w towarzystwie swojego podwładnego, funkcjonariusza milicji, i wsiadł razem z nim do nieoznakowanego fiata 125p. Samochód natychmiast ruszył w stronę szpitala. Jan urwał się z siedziby KW MO tylko na chwilę, by załatwić swoje sprawy pod pretekstem odwiedzenia w szpitalu chorej żony. Wymyślił taką wymówkę celowo – strajki nadal trwały, miasto nie okrzepło wcale po wczorajszych wydarzeniach. I auto rzeczywiście zajechało pod szpital przy ulicy Arkońskiej, gdzie po okazaniu legitymacji milicyjnej bez najmniejszego sprzeciwu wpuszczono je przez szlaban.

– Czekaj tu na mnie – rozkazał kierowcy, po czym skierował się do wejścia izby przyjęć.

Spytał o drogę w okienku i szybko poszedł do wskazanego gabinetu piętro wyżej. Pod drzwiami czekała grupa studentów z zawiniętymi rękawami i wacikami podtrzymywanymi w zgięciach łokci. Czekali na kolegę. Ten pojawił się po chwili i wszyscy razem ruszyli do schodów, zaproszeni przez pielęgniarkę na obiad do stołówki.

– Pan też na oddanie? – spytała młoda, serdeczna pielęgniarka i zobaczywszy potwierdzające skinienie głowy, wpuściła go do gabinetu.

– Uprzedzam, że często mdleję na widok krwi – oznajmił sucho.

– Proszę się w takim razie położyć na kozetce – wskazała miejsce i sprawnie wbiła igłę w żyłę. – Niech się pan nie martwi, za chwilę będzie po wszystkim.

– Dużo ludzi dzisiaj tu przyszło? – spytał, mimo że doskonale znał odpowiedź.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale jego uśmiech zachęcił ją.

- Dużo. Głównie młodzi przychodzą - przyznała. - To, co się dzieje w mieście... W głowie się nie mieści - urwała z ostrożności. - Po wszystkim zapraszamy do naszej stołówki na posiłek.

- Dziękuję - skwitował cicho.

- Czy posiada pan legitymację honorowego krwiodawcy?

- Nie.

- Proszę pana dane, wypiszemy - odrzekła ochoczo.

- Dziękuję, to nie będzie potrzebne.

Patrzyła na niego podejrzliwie, ale też z zainteresowaniem, nie pytała już o nic. Mniej więcej po pół godzinie wsiadał do służbowego fiata pod budynkiem. Teraz czuł się nieco mniej podle.

Niespodziewanie zadzwoniła jej komórka. Zamieniła kilka krótkich zdań płynnym niemieckim, wyraźnie ważąc słowa, co wzbudziło dodatkowe zainteresowanie Piotra.

- Muszę już iść - stwierdziła zaraz po skończeniu rozmowy. - Chciałby pan, żebym przyszła dokończyć opowieść?

Przełknął ślinę. Kobieta, z którą jeszcze wczoraj chciał jedynie ubić dziwny interes, dziś wydawała mu się kimś niezwykle ważnym, jeszcze bardziej intrygującym.

- Tak - kiwnął głową. - Zdecydowanie tak. Nawet jutro, jeśli oczywiście znajdzie pani czas.

Uśmiechnęła się ciepło. I wyszła, nie czekając, aż odprowadzi ją do drzwi.

Ciemna cela, w której przebudził się, zanim zaczęło świtać, przeraziła go. Próbował coś sobie przypomnieć, ale miał ogromną lukę w pamięci. Gorączkowo szukał swojej komórki, lecz najwyraźniej zabrano mu wszystkie osobiste przedmioty, łącz-

nie z zegarkiem. Ostatnią rzeczą, którą robił z pełną świadomością, była rozmowa z Piotrem, suto zakrapiana piwem. Zły na siebie, i po trosze na Piotra, próbował ustalić, gdzie może się znajdować. Towarzyszyły mu palący wstyd i wyrzuty sumienia, a do tego nadchodził z ogromną mocą kac.

Zakratowane okno mogło sugerować jakiś areszt i tak też przyjął. *Pewnie zgarnęli mnie gdzieś z chodnika* – uzmysłowił sobie ze wstydem. Pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji. Lubił piwo, i to w dużych ilościach, ale który mężczyzna w tych czasach nie pije piwa? Poza tym nie wydawało mu się, żeby wypił aż tyle...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a zza nich wyłonił się mężczyzna w policyjnym (chyba) mundurze. Ulżyło mu na jego widok. A więc nie porwali go, nie będą mu wycinać na żywca nerek; po prostu zgarnęła go policja jak menela z ulicy. Teraz pozostał już chyba tylko zimny prysznic, rachunek jak za noc w dwuosobowym apartamencie w Sheratonie i będzie mógł pójść do domu. Było to zdecydowanie „najlepsze zło” z wielu przychodzących mu do głowy opcji.

– Pójdzie pan ze mną – oznajmił surowo i stanowczo funkcjonariusz, czekając na niego w drzwiach.

Zsunął się z pryczy lub kozetki – cokolwiek to było, było twarde i niewygodne. Spojrzał na strażnika, ale nie znajdując cienia sympatii w jego wzroku, postanowił nie pytać o nic. Długo szli korytarzem, potem zmienili piętro budynku. Przy zakratowanych oknach próbował wywnioskować, gdzie się znajduje. Na próżno – widok był tylko na ogromne podwórze, na którym najwyraźniej nigdy wcześniej nie był. Jedyne obszerne korytarze i klatki schodowe gmachu oraz stara secesyjna architektura wskazywały na... *No właśnie, ale na co?* Mógł być w jakimkolwiek komisariacie – mijający ich tajniacy, niektórzy uzbrojeni, i mundurowi policjanci byli tego dodatkowym dowodem – choćby w śródmieściu.

W końcu dotarli do szeregu drzwi z zasuwami i wizjerami do wewnątrz.

– Wchodzi do środka – strażnik otworzył ostatnie z nich.

– Gdzie ja jestem?! – zapytał w końcu w przypiływie strachu. Ale odpowiedzi nie było. Za to strażnik pomógł mu wejść, „delikatnie” popychając go w plecy. Drzwi zatrzasnęły się i nastąpiła cisza. Przez małe zakratowane okienko widział znów to samo nieznanym podwórze. Na zewnątrz już świtało, a więc noc minęła. *Co się tu do cholery dzieje?* – był zupełnie zdezorientowany, przestraszony i skacowany.

Po nieokreślonym czasie na podwórzu pojawiały się samochody, niektóre policyjne. A więc był chyba bezpieczny, w końcu znajdował się w jakimś policyjnym obiekcie. Ból głowy nie pozwalał mu myśleć logicznie. Bał się o swoje dotychczasowe życie, które z obecnej perspektywy wydało mu się wręcz bajkowe. Praca w banku, dość prestiżowa, biorąc pod uwagę fakt, że wielu swoich znajomych z tego samego roku ekonomii na uniwerku spotykał najczęściej na kasach hipermarketów szczecińskich. Mieszkanie może i nie najlepsze, bo w bloku, bo w centrum, bo hałas od ulicy, bo pijaki pod blokiem... Ale to wszystko wydało mu się teraz takie inne. Nie wiedząc, co się z nim właściwie stało, czego od niego chce policja ani kto za tym stoi, pragnął tylko wrócić do swojego przyciasnego mieszkania na drugim piętrze, położyć się we własnym łóżku, a rano jak zwykle pójść do banku.

Całe to rozmyślanie powodowało jeszcze większy ból głowy i panikę.

Dopiero około południa wywołano go z celi. Znów jakiś klawisz, czy ki diabeł, prowadził go przez korytarze, nie udzielając żadnych informacji. Był już tak zdruzgotany tą sytuacją, że nawet nie domagał się telefonu. Wszystko straciło sens w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Gdyby ktoś ze znajomych opowiedział mu podobną historię, po prostu by nie uwierzył.

Dotarli do drzwi wyściełanych skórzanym obiciem, bez żadnej tabliczki informacyjnej. Funkcjonariusz zajrzał do środka, skinął głową, po czym wprowadził go i odszedł. Zza biurka spoglądał na niego mężczyzna, o którym na pierwszy rzut oka mógł powiedzieć tylko tyle – wyglądał jak Peter Falk w serialu „Columbo”. Ni to glina, ni to śledczy, niby gamoń na pierwszy rzut oka, ale jakiś taki dziwny spryt przebijał mu jednak z oczu.

Columbo, nie wypowiadając ani słowa, a jedynie przyglądając się badawczo Markowi, wskazał mu gestem krzesło. Zabrał głos dopiero, gdy Marek usiadł.

– Pewnie się pan nie domyśla, dlaczego tu pana zatrzymaliśmy?

Zdanie godne filmowego mistrza – pomyślał Marek i odpowiedział, zdobywając się mimo strachu na stanowczość:

– Absolutnie nie i chciałbym, by ktoś wreszcie mi to wszystko wyjaśnił.

Columbo pokiwał głową, jakby przekonując samego siebie oraz swojego „gościa”, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Ciężą na panu poważne podejrzenia – spojrzał przenikliwie na Marka. – Aktywna pomoc w korupcji urzędniczej na dużą skalę.

Odgłos przelykanej śliny musiał być słyszalny chyba nawet za drzwiami tego gabinetu. Columbo w sobie tylko wiadomy sposób potrafił jednym zdaniem odświeżyć Markowi pamięć o wczorajszych wydarzeniach. Opróżniając kolejne butelki piwa, dyskutowali o tym, co można zrobić, gdy na koncie ma się cztery miliony złotych! Rany boskie!!! A skąd on to do diabła wie?!

– Kim pan jest?! Co za bzdury mi pan tu insynuuje? – szedł w zaparte po chwili otrzeźwienia.

– Jestem funkcjonariuszem służb specjalnych – odpowiedział Columbo z tym wkurwiającym uśmiechem. – Moje personalia nic panu nie powiedzą, zresztą nie mają one najmniejszego znaczenia... – zrobił pauzę. – No to jak, domyśla się pan, o czym mówię?

Zapanowała cisza. Wściekłość Marka mieszała się z konsternacją i poczuciem bezsilności. Znowu tak bardzo nie mógł i nie chciał wierzyć w te wszystkie filmowe sceny ostatnich kilku godzin. Sceny, które stały się jego udziałem!

Funkcjonariusz Columbo, najwyraźniej nie mogąc się doczekać żadnej odpowiedzi, ale też okazując zdecydowaną cierpliwość, stanął za swoim fotelem i zaciągnął się głęboko papierosem, po czym powoli wypuścił dym. Gładził się przy tym kciukiem u nasady nosa w taki sposób, że Markowi przez moment wydało się, iż musi to być sen, który przeniósł go do jakiejś sceny filmowej. Potem jednak zrobiło się naprawdę gorąco. Funkcjonariusz bez słowa schylił się po myszkę i kliknął kilka razy, patrząc na ekran swojego komputera.

Jego uszu dotarła nieco zakłócana pojedynczymi szumami rozmowa... z wczoraj! Piotr opowiadał o swojej chorobie i o tym, jak trudno jest leczyć się w polskich warunkach, jak bardzo by mu pomogła ta duża suma pieniędzy i że tak naprawdę całej nie potrzebuje. Ale potrzebował pomocnika, kogoś spoza urzędu, figuranta.

– Niech nawet milion wydam na leczenie i założymy, że będzie ono skuteczne – cedził Piotr ściszym głosem. – Zostanę mi trzy miliony. Jeden bierzesz ty, a jeden zostawimy na koncie fikcyjnej spółki, która przejęłaby pieniądze. Wszystko już ułożyłem... Pojutrze mam się spotkać z tym Niemcem, żeby ustalić szczegóły.

– To byłby mój pierwszy milion – usłyszał własny głos, a potem głośny śmiech. – Oczywiście nie powiem, żebym zarobił go legalnie. Ale kto zarabia legalnie pierwszy milion...

Idiota, skończony idiota! W co ja się upakowałem... Skąd oni mają to nagranie?

– Nie będę pana katował dalszym ciągiem – powiedział Columbo, klikając myszką. – Istotę rzeczy pan już zna. Wie pan, co grozi za pomoc w korupcji? Myślę, że CBA miałoby na koncie niezły dorobek, gdyby udało im się przyskrzynieć pana

Piotra S. i Marka L. na próbie ustawiania przetargu wartego okragły milion euro.

Coś było w tym wszystkim zastanawiające. Przecież skoro było takie nagranie, to musiano obserwować i zainstalować podsłuch w domu Piotrka wcześniej. Skoro była to taka gratka dla CBA, to czemu nie postawiono go od razu w stan oskarżenia? I czemu to on tu siedzi, a nie sam Piotrek, do cholery? Przecież on to wszystko wymyślił. A może i Piotrka trzymają gdzieś na dole?

– Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Czy to nagranie odbyło się zgodnie z prawem? – palnął. – Poza tym ja byłem pod wpływem alkoholu... Wypiliśmy dużo piwa...

– Proszę się nie trudzić – przerwał mu Columbo. – CBA mogłoby, ale nie zajmie się tą sprawą, ponieważ wszystko tu zależy ode mnie.

Po chwili zastanowienia dodał:

– W całej tej historii nie chodzi o Piotra. Mnie interesuje tak naprawdę tylko osoba niemieckiego inwestora.

Wreszcie pojawiła się prawdziwa nadzieja. *Kurwa, wszystko tylko nie więzienie!*

Poukładanie wszystkiego nie było łatwe. Gdy tylko otrzymał z powrotem swoją komórkę, zadzwonił do Piotra i zakomunikował mu, że chce się z nim spotkać najszybciej, jak to możliwe. Nie opowiadał przy tym żadnych szczegółów ostatnich wydarzeń – był pewny, że i jego telefon jest już na podsłuchu. Postanowił też wziąć urlop na żądanie. Z komendy więc poszedł prosto do biura. A ponieważ z Małopolskiej do siedziby banku przy placu Lotników daleko nie było, nie miał czasu nawet dobrze zastanowić się nad wszystkimi zaskakującymi wydarzeniami ostatnich godzin swojego życia.

W siedzibie banku najpierw udał się do łazienki, chcąc nieco poprawić swój wygląd. W końcu od wczoraj nie mył zębów, nie zmienił ubrania ani się nie ogolił. Po jakim takim

ogarnięciu się poszedł do sekretarki dyrektora – ładnej dwudziestopięcioletki z blond włosami upiętymi zawsze do tyłu. Gdyby tylko nie miała męża, a nawet jakby miała... Zamienił z nią kilka słów, że dzisiaj źle się czuł od rana. Powiedziała, że przekaże szefowi i krótko skwitowała:

– Widać, Marek, że wczoraj zabalowałaś. Nie ściemniaj.

OK, nie było czasu na dyskusje. Musiał jeszcze wykonać ze swojego pokoju kilka telefonów do departamentu ryzyka – z nimi zawsze było najgorzej, a potem do swojego bezpośredniego przełożonego pionu bankowości korporacyjnej w Warszawie. Wszystko zajęło mu jakieś dwie godziny. Cholernie długie godziny, ale za to skuteczne. No i wreszcie mógł iść na spotkanie z Piotrem.

– Marek! – krzyknęła sekretarka, widząc go pędzącego w stronę wyjścia. – Dyrektor organizuje dzisiaj spotkanie z klientami w klubie, mówił, że chciałby cię widzieć, będzie paru prezesów z twojego portfela.

– A ty będziesz? – ku swojemu zdziwieniu zdobył się na żart.

– Pewnie – odpowiedziała, mrużąc kokieteryjnie oczy.

Ach żebym ja nie miał na głowie tego bagna, kobieto...

– Nie wiem, czy dam radę – odpowiedział, zamykając za sobą drzwi. – Zobaczę, cześć.

Zorientowawszy się, że nie ma czasu na telepanie się komunikacją miejską, zamówił telefonicznie taksówkę. Czekał na nią pod bankiem i bezmyślnie patrzył na pomnik Wdzięczności pozbawiony w latach dziewięćdziesiątych gwiazdy na szczycie. Wkurwił go ten Columbo, wszystko go wkurwiało. Był zły nawet na Piotra i najchętniej wyrzygałby mu wszystko już w drzwiach, gdyby nie fakt, że nie mógł tego zrobić. Układ, dzięki któremu został wypuszczony na wolność, bez dalszych konsekwencji zakładał, że ma samodzielnie odwieść Piotrką od próby ustawienia tego przetargu na wykop pod ulicą Łady. Zgodził się też podpisać stosowne zobowiązanie, które – co najciekawsze w tym wszystkim – było opatrzone

klauzulą tajności, a stroną był polski kontrwywiad wojskowy. Nic z tego nie rozumiał i najwidoczniej nie miał rozumieć – tak powiedział mu Columbo na pożegnanie.

– Jeśli pan Piotr nie wejdzie w układ z tym Niemcem, sprawa zostanie całkowicie wyczyszczona – brzmiały jego ostatnie słowa.

Wysiadając z taksówki pod domem Piotra, dostrzegł nieco starszą kobietę wychodzącą przez furtkę. Spojrzała w jego stronę i wyraźnie, a nawet serdecznie uśmiechnęła się do niego, po czym zaraz uniosła głowę do góry i dumnie udała się w nieznanym kierunku. Zaraz po wejściu nie omieszkał o nią zapytać.

– To ta dziwna kobieta, o której ci opowiadałem – odpowiedział Piotr i z namysłem dodał: – Muszę przyznać, że sam nie wiem, czy zaczyna mnie ona wkurzać, czy raczej intrygować.

– To jednak chce kupić twój dom? – spytał Marek z nadzieją.

– Sam nie wiem, o co jej chodzi – odpowiedział Piotr, drapiąc się po głowie z konsternacją.

– Skoro przyszła ponownie, to chyba jasne, że...

– To nie jest takie proste, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka – uciał Piotr. – Nie jestem wcale taki pewien, czy ona chce kupić dom czy w ogóle chodzi jej o zupełnie coś innego.

– Zniź jej trochę cenę i pewnie się zdecyduje...

– Co ty wygadujesz? Po naszych wczorajszych ustaleniach miałbym... Poza tym mówię ci, że ona jest jakaś inna – skwitował, chcąc na razie zmienić temat. – A jak się czujesz po wczorajszym? Trochę tych bosmanów żeśmy wysączyli, nie powiem.

– No właśnie – ugryzł się w język Marek. – To znaczy, słuchaj, cholernie się dziś źle czułem rano i nie poszedłem do pracy. Mam przechłapanę u mojego szefa z Warszawy... Wiesz, w każdym razie myślałem nad sprawą tego Niemca... Może to jednak zbyt ryzykowne, ja nie jestem przekonany... – widząc zaskoczenie na twarzy Piotrka, kontynuował. – Mogę być teraz na widelcu w pracy, wściekli się na mnie za dzisiaj... A jak nam coś nie wyjdzie?

– Co ty bredzisz? – oburzył się Piotr. – Coś ci na głowę od wczorajszego wieczora upadło? Chyba mi nie powiesz, że ktoś tak doskonale zorientowany w swojej robocie jak ty teraz będzie miał poważne kłopoty, bo się raz nie pojawił w pracy?! Od czego są urlopy i zwolnienia, bóle głowy i tym podobne...

Marek czuł presję, ale też nie chciał brzmieć zbyt stanowczo.

– Słuchaj, po prostu przemyślałem to trochę i wydaje mi się to, ta cała transakcja i ten przetarg, bardzo... Czy ja wiem... Niebezpieczne?

Piotr popatrzył na swojego najlepszego kumpla z politowaniem. Rzadko widział go tak niepewnego siebie i zrezygnowanego. Postanowił obrócić wszystko w żart.

– Ty może zmień lekarza – rzucił wesoło. – Bo chyba zaczął cię oszukiwać.

Uśmiechnęli się, ale w głowach obaj mieli zupełnie inne wizje przyszłych wydarzeń.

Ból nadszedł niespodziewanie, zwykle tak to się właśnie odbywało. Tym razem był znacznie silniejszy. Piotr próbował określić jego stopień – tak jak radził mu lekarz – żeby ocenić, który lek powinien wziąć. Tramal był chyba właściwym wyborem na ten moment. Starał się zażywać go jak najrzadziej, ale ostatnio bóle pojawiały się coraz częściej. Ten jednak wydawał się najmocniejszy. Czas uciekał, a pieniędzy na leczenie, pomimo dwóch potencjalnych źródeł, nadal nie było.

– Kurwa! – zaklął, wstając z sofy, i zgięty w pół, trzymając się za brzuch, doszedł do kuchennej szafki. Stracił z niej kota, który zawsze znajdował się nie tam, gdzie powinien. Połknął łąpczywie dwie tabletki. Ból był nie do zniesienia!

Po pół godzinie wszystko ustąpiło, poczuł błogą ulgę i strach. Gdyby Marta była teraz przy nim, czułby się bezpiecznie. Czego jeszcze oczekiwał od życia? Kobieta, która

chciała z nim być, nie mogła mu pomóc, bo sam tego nie chciał. *Może powinienem do niej zadzwonić?* Nie w tej chwili. Znowu będzie, że odzywa się tylko wtedy, kiedy jej potrzebuje. Nadszedł sen.

Śniło mu się coś dziwnego – facet w jego wieku, koszmar- nie zmęczony, jakby był nim samym, pędzi gdzieś dużym fiat- em przez zadymione, opustoszałe miasto w czarno-białym kolorze. Kierownica nie reaguje właściwie na zakrętach, a peda- łał hamulca nie działa. Z szarych kamienic padają w jego kierunku strzały...

Obudził się z ulgą i natychmiast zdał sobie sprawę, że sen jest wynikiem opowieści starszej kobiety. Coś go w tym mę- czyło, ale nie chciał się przyznać przed sobą co. A może nie umiał sobie wytłumaczyć, o co chodzi? Zerwał się z kana- py w salonie i pobiegł na górne piętro, z którego drewniana drabinka wiodła na zakurzony i niezwykle rzadko odwiedza- ny strych. Wiedział, że jest tam całe mnóstwo różnego typu pamiątek w postaci zdjęć, rzeczy osobistych, starych mebli, należących do jego przodków. Choć przestawianie pokrytych grubą warstwą kurzu i ciężkich gratów nie było niczym przy- jemnym, chciał się dokopać do czegoś wartościowego. Nie w sensie materialnym oczywiście.

Cały czas zastanawiał się, o co mu właściwie chodzi, aż w końcu zrozumiał – szukał dowodów na to, że opowieść ko- biety nie jest przypadkowa. Że dotyczy kogoś z jego rodziny. Kogoś, o kim dawno zapomniał, o kim babcia i mama kazały mu nie myśleć. O kimś, kogo istnienie było skazane na za- pomnienie.

Dokładnie analizował teraz każdą poźółkłą kartkę, teczkę, pocztówkę. Przecierał ręką i zdmuchiwał kurz z wszystkiego, czemu można było się przyjrzeć, gdzie można było znaleźć jakąkolwiek treść.

Marta nie miała złudzeń, że w jego życiu wydarzyło się coś, co zmieniło jego zapatrywania na przyszłość. Wieczór spędzili wspólnie. Przesiedzieli go w większości na tarasie, zjadając drobne przekąski, które on sam przygotował, co zdarzało się w ostatnim czasie bardzo rzadko. Zdecydowanie większy optymizm, radość chwili, uśmiech – wszystko to pojawiło się niespodziewanie. Jeszcze przedwczoraj kłócili się zajadle, wypominając sobie najdrobniejsze sprawy, aż w końcu trzasnęła drzwiami, oznajmiając mu, że powinien udać się do psychiatry, bo zachowuje się jak stary zmęczony życiem tetryk. I nagle taka zmiana. *Czy może tylko pojedynczy wzlot, efekt huśtawki nastrojów, po którym przyjdzie jeszcze głębsza dolina?* Postanowiła jednak nie wnikać w przyczyny jego zachowania i cieszyć się z nim każdą chwilą, która dawała jemu samemu radość.

Byli ze sobą tego dnia bardzo blisko. Znów beztrudnie cieszyli się sobą i nawet pojedyncze ataki bólu nie psuły wymienionej atmosfery. Znała go od ponad siedmiu lat i właśnie dzisiaj przypominał jej siebie z początków znajomości, kiedy był wesołym ambitnym optymistą, ciekawym ludzi i pełnym chęci życia. Adorował ją przez kilka miesięcy, odwiedzał w akademiku, gdzie nie była przecież pozbawiona męskiego towarzystwa. Ale on się nie poddawał, był inny od chłopaków z roku – dojrzały, zaangażowany w swoje sprawy zawodowe, pełen oryginalnych poglądów, odstawał od nich zarówno pod względem fizycznym, jak i w sensie ogólnym, jako człowiek o szerokich horyzontach, mający swoją wizję i z nadzieją patrzący w przyszłość. No i warto wspomnieć, uśmiechnęła się do siebie pod nosem, był cholernie przystojny. *Szalone i piękne czasy!*

Wieczorem, gdy oglądali kolejny film, zmógł ją sen. Piotrek wykorzystał okazję i znów udał się na górę, na strych. Miał do przejrzenia cały stos papierów, które odnalazł wczoraj w jednym z najdalszych zakamarków.

W końcu udało mu się dotrzeć, przerzucając całe sterty śmieci, gratów i dokumentów, do przewróconej bokiem starej szafki w samym narożniku strychu, gdzie pochył dachu zmusił go do zajęcia pozycji niemal leżącej. Wysunął mebel bliżej środka, by móc lepiej przyjrzeć się zawartości, i zaczął wyciągać pozawijane w szmaty bądź w stare gazety kolejne kartki, notatniki, zeszyty. Wszystko to natychmiast trafiało na ciągle rosnącą kupkę materiałów do przejrzania.

W pewnym momencie natrafił na oprawny w skórę notatnik. Miał tego nie robić – wszystko po kolei – ale nie mógł się oprzeć. Otworzył na pierwszej zapisanej kartce i odczytał z łatwością, choć litery były nieco rozmyte:

15 maj 1929. Dotarliśmy do hotelu Bellevue. Stettin robi ogromne wrażenie! Już pierwsze obrazy tętniącej życiem i handlem Odry wywołały u mnie niezwykle przyjemny dreszczyk emocji. Janek też wydaje się być zafascynowany. Widziałem po raz drugi w życiu najbardziej charakterystyczny punkt miasta – niezwykle pomnik Sediny.

– Piotrek? – jego imię roznosiło się po domu.

Kto był autorem tego pamiętnika? Kim był Janek? Data jasno wskazywała na co najmniej dwa, może trzy pokolenia wstecz. Pojawiło się wspomnienie babci, która go wychowywała i zawsze powtarzała, że dziadka nie ma, że uciekł, że wszystkich zawiódł. I to tyle. Nie było żadnych pamiątek, żadnych zdjęć. Docierała do niego świadomość o zatajeniu prawdy, o zgaszeniu pamięci o dziadku. Nie wiedział o nim dotąd zupełnie nic, ale niemal instynktownie czuł, że dotarł do zapisków dotyczących wymazanego z kart rodzinnych przodka.

Dlaczego, co się wtedy wydarzyło? Nie mógł uwierzyć, że przez całe swoje życie nigdy nie zastanawiał się nad tym, a teraz pod wpływem wizyty jakiejś dziwnej kobiety zaczął grzebać się w przeszłości.

Zajrzał w poszukiwaniu nazwiska właściciela na pierwszą stronę notatnika, ale była pusta. Przerzucił pobieżnie kilka stron, odnajdując na kilkunastu różne inne zapiski. Odłożył ostrożnie notatnik na właściwą stertę, gdy w otworze schodowym pojawiła się głowa Marty.

– Co ty tu robisz? Za porządki się teraz zabrałeś? – spytała zdziwiona.

– A nieee – odpowiedział zmieszany. – Wiesz, próbuję tu trochę ogarnąć od jakiegoś czasu. Już schodzę.

Dzień spotkania z niemieckim „inwestorem” był ważnym i ostatnim sprawdzianem możliwości zarobienia na dostatnie życie, ale przede wszystkim na leczenie. Czuł, że jego stan zdrowia pogarsza się w tempie dużo szybszym niż jeszcze, powiedzmy, miesiąc wcześniej. Postanowił prowadzić rozmowę w taki sposób, by nie ujawniać swoich zamiarów, a jedynie wysłuchać propozycji Niemca. Spotkanie umówione było w hotelu Ibis na ulicy Dworcowej – w pokoju wynajętym przez inwestora. Miał być też ich wspólny znajomy, Polak, który do tej pory reprezentował swojego przełożonego i złożył w jego imieniu korupcyjną propozycję wartą milion euro. Zastanawiał się, czy w tej sytuacji nieznajomość niemieckiego jest rzeczywiście kłopotem, czy raczej pomocą. W razie czego mógł się powołać na fakt, że nie zrozumiał dokładnie.

Kwota tego przekrętu, czyn, którego się dopuszczał, oraz niejasne motywy działania Niemca wzbudzały w nim podejrzliwość. Postanowił pojechać na spotkanie tramwajem, ubrany niepozornie w polówkę i bawełniane spodnie – bez żadnych formalnych garniturów i krawatów. Całą drogę zastanawiał się tylko nad jedną kwestią – co powodowało tym starym człowiekiem, że tak bardzo chciał się dostać do jakiegoś rozkopu czy tunelu i dlaczego chciał zapłacić za ten dostęp tak potężne pieniądze?

Gogusiowaty blondyn czekał na niego w recepcji. Miał jak zwykle przyklejony do twarzy wytrenowany, sztuczny uśmiezek – ten człowiek był naprawdę irytujący – szkoda, że nikt nigdy mu o tym nie powiedział.

„Witam serdecznie” i cała reszta zbędnych grzeczności, a po chwili jechali już na drugie piętro. Po drodze próbował wyobrazić sobie inwestora. Na pewno siedzi z jakimś kubańskim cygarem, pięćdziesiąt dolarów za sztukę, i z szelmowskim uśmiechem i pewnym siebie, przenikliwym spojrzeniem popija whisky. Miał już w swojej karierze do czynienia z tego typu ludźmi – widział, jak prezesi średnich firm odnosili sukces finansowy i zaczęli zachowywać się zgodnie z wzorcem amerykańskiego tycoona.

Rozczarowanie, i to bardzo miłe, pojawiło się z chwilą, gdy otworzył drzwi do ciasnego pokoiku. Ubrany schludnie, szczupły mężczyzna w bardzo sędziwym wieku, z mocno naznaczoną głębokimi zmarszczkami mimicznymi twarzą i nieco przygarbioną sylwetką podniósł się z krzeselka na jego widok i dosyć energicznie jak na swój wiek podszedł do niego, podał dłoń i się przedstawił. Wydawało mu się, że jego nazwisko brzmiało tak bardzo niemiecko, jak tylko mogło – Georg Hartman.

Usiedli na niezbyt wygodnych krzeselkach, blondyn zaś przysiadł na krawędzi zasłanego łóżka i zaczął tłumaczyć.

– Pan Hartman chce pana zapewnić, że jest zaszczycony spotkaniem i cieszy się, że to właśnie od pana zależy przyszłość sprawy, w jakiej się tu dzisiaj spotykamy – objaśniał.

– Proszę powiedzieć panu Hartmanowi, że również cieś się na to spotkanie, choć nie jestem pewien, czy uda się sprawę poprowadzić tak, by uzyskać ostateczny cel – bardzo ostrożnie ważył słowa Piotr.

Po krótkiej wymianie zdań z inwestorem blondyn zwrócił się do Piotra:

– Wydawało mi się, że potwierdził pan chęć pomocy. Omaialiśmy to już wcześniej – zaznaczył z wyraźnym zarzutem w głosie.

– Owszem, ale ciągle nie możemy mieć pewności co do tego, że uda się od nowa ogłosić przetarg – odciął się Piotr. – Moje stanowisko w sprawie się nie zmieniło. Proszę jedynie powiedzieć panu Hartmanowi, że nie wszystko ode mnie zależy...

– Jest pan jedyną osobą, która ma bezpośredni dostęp do sprawy i może wpłynąć na decyzję o nowym przetargu. Pan Hartman przyjechał na dzisiejsze spotkanie przekonany o pana kompetencjach.

Piotr obserwował kątem oka starszego mężczyznę, który spokojnie, a wręcz z pełną aprobatą przyglądał się ich wymianie zdań. Musiał być typowym przestępcą w białym kołnierzyku – bez względu na skalę korupcyjnej propozycji wzbudzał sympatię. Przypominał mu arabskiego handlarza bronią – oni na tych filmach zawsze wyglądali tak, jakby proponowali odbiorcom dożywotnie dostarczanie za darmo wody do Sudanu.

– Wir werden eine neue Wendung hier haben – odezwał się nagle Niemiec i zaczął objaśniać coś blondynowi, patrząc jednak cały czas na Piotra.

– Pan Hartman mówi, że wkrótce otrzyma pan poważne wsparcie – tłumaczył blondyn. – W lokalnych gazetach pojawi się wzmianka o niemieckiej firmie zainteresowanej odbudową podziemnej infrastruktury miejskiej w Szczecinie celem uruchomienia turystycznych szlaków. Będzie to dla pana na pewno pomocny argument i nie będzie żadnego zdziwienia, gdy właśnie ta firma wygra nowy przetarg.

Rzeczywiście – jakby nie patrzeć – takie rozwiązanie niemal legalizowało całą sprawę. Piotr zupełnie nie spodziewał się takiego przebiegu rozmowy. Patrzył z niedowierzaniem na miłego staruszka i coraz bardziej się go obawiał, choć z drugiej strony otrzymywał argumenty, które wydawały się całkowicie sensowne.

– Pan naprawdę jest zainteresowany odbudową podziemnych tuneli? – w całym tym mętliku myśli zżerała go ciekawość.

Padła potwierdzająca odpowiedź, więc zdobył się jeszcze na kolejne oczywiste pytanie – po co właściwie chciał zapłacić jemu, skoro mógł się obejść ze sprawą urzędowo? Zamiast odpowiedzieć, Niemiec zapytał Piotra o jego staż w Urzędzie Miejskim. Słyszając, że jest to ponad dziesięć lat, skinał tylko głową.

– Jak na taki długi okres w służbie miastu niewiele się pan jeszcze nauczył – blondyn głupio się uśmiechał, tłumacząc to zdanie. Ale staruszek mówił najwyraźniej całkiem poważnie.

Wykop na ulicy Łady był zdecydowanym utrudnieniem dla mieszkańców korzystających z połączenia z prawobrzeżem poprzez Trasę Zamkową. Mieli oni jednak pewne doświadczenie z nadodrzańską częścią arterii, mianowicie w lecie na Wałach Chrobrego organizowano wiele weekendowych imprez miejskich, z powodu których zamykano ulicę Jana z Kolna czasami już od czwartku aż do poniedziałku. I tego należało się trzymać.

Piotr nie mógł sobie odpuścić zejścia razem z dwoma policyjnymi saperami na dół ani zapuszczenia się w głąb fragmentu odkopanego tunelu. Przedtem w ogóle nie zamierzał interesować się sprawą jakiegoś rozkopu, ale w zaistniałych okolicznościach jego ciekawość była o niebo większa. Robotnicy pracujący przy wykopie mówili, że przychodzą do nich starsi mieszkańcy budynków kamienic poniemieckich i opowiadają, jak to w latach pięćdziesiątych mogli jeszcze schodzić do niektórych podziemnych korytarzy zlokalizowanych w okolicy nabrzeża. Większość z nich już wtedy była zasypała lub zagruzowana.

Kamera z gaśienicowym napędem, na wysięgniku wyglądającym jak łapka na muchy powoli przemierzała korytarz, a sami policjanci i Piotr podążali za nią. Jednak po kilkunastu już metrach szerokość tunelu ograniczała się jedynie do otworu, którego średnica była za mała jak na ciało dorosłe-

go mężczyzny. Zdecydowano się puścić dalej łaźnik zdalnie. Na niedużym, może siedmiocalowym ekranie widać było rozświetlony przez łaźnik wąski przesmyk. Łącznie czterech mężczyzn bez słowa, ale z napięciem wymalowanym na twarzach i wyraźnym zaciekawieniem, obserwowało zakłócany drganiem obraz. Kolejne metry łaźnik pokonywał coraz wolniej, aż w końcu utknął w tunelu i saperom policyjnym z trudnością udało się go zawrócić.

Podobną procedurę należało zastosować w drugim odkrytym przy remoncie ulicy tunelu. Dopiero po godzinie saperzy byli gotowi do zejścia i uruchomienia łaźnika. Tym razem Piotr dość szybko stracił nadzieję na odnalezienie w tunelu czegokolwiek, co dałoby powód do dalszych poszukiwań, a w konsekwencji na proste rozwiązanie problemu – rozpiśnięcie przetargu na odkopanie całości tunelu. Nie musiałby już w tej sprawie podejmować dodatkowych kroków lub czekać na kolejne ruchy niemieckiego inwestora-dziwaka. I nagle na ekranie pojawiło się coś interesującego – korytarz najwyraźniej rozwidłał się w lewo, a jego ściany były zabudowane ceglami, które wydawały się w świetnym stanie.

Bieżące wydanie „Głosu Szczecińskiego” zafrapowało porucznika Lesika. Jak dotąd wydawało się, że wszystko jest na właściwej drodze. Dyskretnie rozpracowano sprawę wykopu na ulicy Łady, ściśle monitorując kontakty niemieckiego obywatela Georga Hartmana z osobami odpowiedzialnymi za przeprowadzenie prac remontowych, i próbowano uniemożliwić mu podjęcie jakichkolwiek działań dotyczących odnalezionych tam tuneli. Dzięki długoletniemu doświadczeniu w służbie kontrwywiadu Lesik szybko ustalił, że Niemiec próbuje nawiązać kontakt z zastępcą dyrektora wydziału inwestycji Urzędu Miejskiego w Szczecinie Piotrem Salickim. Lesik posunął się w tej sprawie nawet o wiele za daleko – za-

łożył podsłuch w domu Salickiego i w ten sposób uzyskał dowody na korupcyjną ofertę, jaką Piotrowi złożył Hartman.

Właściwie miał tego Salickiego na widelcu i tylko dlatego, że to niemieckie służby specjalne prosiły o dyskretne załatwienie sprawy, nie otrzymał rozkazu przekazania jej prokuraturze lub może nawet bardziej odpowiedniej służbie, jaką było CBA. Jego przełożony na pewno też trząsał portkami, żeby tamci przypadkiem nie przejęli sprawy. Tak więc działał najdyskretniej, jak potrafił, werbując szantażem do obserwacji kolegę Salickiego – Marka Landowskiego. I wszystko pewnie poszłoby gładko, ale zaczęły się pojawiać komplikacje, które niepokoiły Lesika. Wczorajszy artykuł w lokalnym „Głosie Szczecińskim” i „Kurierze” oraz dodatku szczecińskim do „Wyborczej” o tunelach odnalezionych w wykopie na ulicy Łady wzbudził duże poruszenie i zainteresowanie tematem. Może nie byłoby w tym nawet niczego nadzwyczajnego, gdyby nie kolejny artykuł w dzisiejszym wydaniu „Głosu”, mówiący o niemieckim inwestorze zainteresowanym odtworzeniem podziemnej infrastruktury ponemieckiej w okolicach nabrzeża. Ciche załatwienie sprawy stawało się niemal niewykonalne! A na biurku już od rana czekał na niego rozkaz – zmiana planów dotycząca figuranta Piotra S. Teraz już nikomu nie zależało na wyciszeniu sprawy, ale na zrobieniu ustawki. Figurant miałby prowadzić dalsze rozmowy z Niemcem i doprowadzić do aresztowania go przy współpracy z niemieckimi służbami informacyjnymi Bundeswehry.

– Jak ten niemiecki skurwiel, do ciężkiej cholery, to rozegrał! – wrzasnął wściekle Lesik zupełnie do nikogo, rzucając gazetę i nowy rozkaz na blat swojego niewielkiego biurka.

Nie zastanawiając się długo, wyciągnął komórkę, wybrał znany mu od niedawna numer i poprosił rozmówcę, by czym prędzej się u niego zjawił.

Marek pojawił się w gabinecie Columbo już w godzinę po telefonie. Wyrwał się z biura, jak najszybciej mógł. Obawiał się, że nastąpił jakiś nowy zwrot wydarzeń i sprawy nie idą

we właściwym kierunku. A poza tym niestety czytał lokalne gazety i już od wczoraj tylko czekał na ten telefon.

– Zapewne czytał pan już dzisiejszy „Głos”? – rzucił na dzień dobry Columbo. – Widział pan się ostatnio z naszym kolegą Piotrem?

Pytanie. Oczywiście, że się widział i zrobił odpowiednie rozpoznanie. Żałował jedynie, że nie potrafił wpłynąć na decyzję Piotrka, który uparcie chciał zgarnąć te cztery miliony. Jeszcze bardziej cierpiał z powodu swojej dwulicowości, jaką dzięki szantażowi wymusił na nim ten cholerny Columbo.

– Tak – przyznał. – Spotkaliśmy się.

Columbo pochylił głowę z zainteresowaniem.

– I?

Marek z trudem przełknął ślinę.

– Miały się pojawić w gazetach jakieś informacje o inwestorze...

– I się pojawiły. Temat jest bardzo interesujący, nie ma się co dziwić, że gazety chętnie piszą o nowych planach odtworzenia podziemi szczecińskich – potwierdził ironicznie Lesik, po czym najwyraźniej nie chcąc męczyć Marka, wyciągnął ze slota kartę pamięci.

– Na tym dysku znajduje się zapis waszej rozmowy, którą pan już słyszał – pomachał malutką kartą Micro SD. – Niech pan to puści swojemu koledze. Na dysku znajduje się specjalny program do odtworzenia jednorazowego, po którym zawartość dysku zostanie skasowana.

Marek poczuł ulgę. Nie musiał przynajmniej dłużej działać w konspiracji przed swoim najlepszym kumpłem. Nareszcie skończy się ta paranoja.

– Mamy też małą, uhmm... – zakrztusił się Lesik – zmianę planów. Proszę mu też przekazać, że ma prowadzić dalsze pertraktacje z panem Hartmanem.

Columbo nie miał tym razem zbyt pewnego siebie wyrazu twarzy. Był bardziej zdesperowany niż zdeterminowany.

– Jak to?!

Lesik wziął głęboki wdech, kryjąc zdenerwowanie.

– Po prostu niech prowadzi wszystko dalej – stwierdził stanowczo. – Wkroczymy we właściwym momencie.

Marek poczuł, jak pot spływa mu po czole.

– Ma prowadzić sprawę korupcyjną... To znaczy ma próbować popełnić przestępstwo na taką skalę? I to za waszą zgodą... Co ja mówię, za waszą namową!

– Dostanie pan ode mnie odpowiedni glejt. Pan Piotr będzie miał w tej sprawie pełną ochronę prawną i osobistą – spojrzał na Marka. – Pan również.

No to mnie, kurwa, w pełni uspokaja...

– A co ja mam mu właściwie powiedzieć o panu? – spytał niepewnie Marek. – Dla kogo pan pracuje?

– Niech pan powie, że dla policji. To nie ma najmniejszego znaczenia dla sprawy.

Po kilkudziesięciu minutach oczekiwania w wyznaczonym pokoju, przyniesiono mu pisma i zaświadczenia, z których wynikało dość lakonicznie, że zarówno on, jak i Piotr wykonują specjalne zadanie dla jednostki rządowej podległej MON. Został też pouczone o konieczności posiadania tego dokumentu w przypadku wszelkich kontaktów osobistych jego z Piotrem, Piotra z Niemcem lub kimkolwiek go reprezentującym.

Gdy wychodził z pokoju, wydarzyło się coś jeszcze. Z końca korytarza zmierzała w jego stronę kobieta średniej postury. Powoli wyłaniała się z cienia, a padające z dużych okien światło dzienne wydobyło z mroku jej twarz. Gdy dostrzegła Marka, skrzyła gwałtownie do drzwi innego gabinetu, choć wcześniej nie wyglądało na to, by zamierzała tam wejść. Ostatnie spojrzenie w jej kierunku i wiedział już, dlaczego ją rozpoznaje. To była starsza kobieta, która chciała kupić dom Piotra.